Cena 40 gr. **PO KONFISKACIE NAKŁAD DRUGI** Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ODNOWA

TYGODNIK

3 Styczeń 1937 r. Niedziela Rok II. Nr. 2. (1).

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, ul. Traugutta Nr. 3, m. 6. Telefon: 6.97-99.

Państwo w trosce o bezpieczeństwo

Trzy są czynniki najistotniejsze, które rozstrzygają o potędze militarnej narodu i obronności państwa. Pierwszy, to liczebność oraz żywotność zamieszkującej go ludności i jej walory moralne. Drugim jest położenie kraju, gęstość zaludnienia, długość i konfiguracja jego granic. Trzeci, wzmożony przez wspaniały rozwój techniki, wnosi do obrony państwa elementy nowe, nieznane przed 1914 rokiem i zaledwie w części sprawdzone podczas wielkiej wojny światowej. Jest to czynnik techniczny i materjalny. Zależy on od sił przemysłowo - gospodarczych kraju, które w warunkach obecnych stają się bronią najpotężniejszą. Od nich bowiem w przeważającym stopniu zawisło pokojowe uzbrojenie wojska, odpowiadające potrzebom chwili. One zadecydują o tem, czy pierwsze tygodnie przyszłej wojny, w której walki będą niezwykle intensywne, nie wyczerpią naszych zapasów materjałowych i czy nie przekreślą wskutek tego ciągłości zaopatrzenia wojsk, bijących się na lądzie, morzu i w powietrzu. A bez tego najlepsze i najobficiej wyekwipowane oddziały pierwszej linji byłyby narażone na zagładę.

Niektóre z tych czynników są natury przyrodzonej. Nie odmieni ich nasza wola, chociażby była ze stali. Są jednak wśród nich takie, które może poprawić naród, świadomy swych wielkich celów a wytrwały i konsekwentny w planowaniu działań.

Położenie Polski jest, ze stanowiska wojskowego rzecz oceniając, bardzo trudne. Wymaga ono wielkiej i celowo użytej energji, ażeby w dobie wojny zapewnić jej równowagę sił, zburzoną już w samem następstwie przewagi, jaka w stosunku do Polski istnieje po stronie jej domniemanych przeciwników. A że warunki geograficzne i topograficzne państwa wpływają dla nas niekorzystnie na charakter przyszłych operacyj, tem większego i tem umiejętniej zorganizowanego potrzeba będzie wysiłku, ażeby wyrównać te poważne braki.

Nie lepszą jest sytuacja polityczna Rzeczypospolitej.

Polska leży pomiędzy Niemcami a Rosją, t. j. dwoma przeciwstawiającemi się sobie światami, gotującemi się jakgdyby do nieubłaganej walki. By się nie stać terenem zapowiadanych zmagań, by zamknąć granice państwa od wschodu i zachodu i w tej części Europy odegrać istotnie rolę muru izolacyjnego, by nie być płotem, który zostanie rozwalony w razie potrzeby — Polska musi być silną.

Każdy z wymienionych sąsiadów, zresztą, góruje nad nami przestrzenią i liczbą, jak również posiadanymi przez siebie zasobami. Podpisane przez nas pakty o nieagresji nie wyłączają niebezpieczeństwa konfliktu. Przecież układ zawarty 26 stycznia 1934 roku z Niemcami jest chwilowem zawieszeniem broni, które wygasa za lat siedem. A pomimo usług dyplomatycznych, jakie odtąd oddaliśmy osamotnionemu początkowo rządowi Trzeciej Rzeszy, nie udało się nam uzyskać wieczystego uznania praw, które na granicy zachodniej przywrócił Polsce Traktat Wersalski. Wręcz przeciwnie. Niemcy sięgają już dzisiaj łapczywie po Gdańsk. Przygotowali tam ofenzywę, wznawiającą odwieczny, dobrze nam znany pochód germański na wschód. Jej podjęcie zależy wyłącznie od Berlina i od uznania przezeń momentu dla tego rodzaju akcji za korzystny.

Od Wschodu napiera na nas zorganizowany państwowo komunizm, który nie zrezygnował z uniwersalizmu i grozi światu, a więc i Polsce, przewrotem. Jak z uwag poprzednich wynika, nasze zmierzenie się z Niemcami czy to z Rosją, a tej ewentualności nie wykluczają nawet integralni pacyfiści, stawiałoby nas w położeniu partnera słabszego pod względem liczebnym.

Zmiana tego stanu rzeczy nie zależy od nas samych. Wprawdzie Polacy są

narodem młodym, posiadającym niezrównaną prężność dynamiczną, a wśród ludności męskiej przewagę jednostek, zdolnych do walki z bronią w ręku. I ta jednak właściwość polskiego ludu, chociaż niezwykle cenna, nie wyrówna różnic, jakie zachodzą i zachodzić będą pomiędzy 34 miljonową Polską, a 160 miljonową Rosją, lub 70 miljonowemi Niemcami. W danym wypadku swe szanse poprawić możemy i wzmóc bezpieczeństwo państwa jedynie przez naturalne, a więc trwałe, sojusze wojskowe. Powinniśmy umocnić pozycję własną, grupując wokół Polski państwa słabsze środkowej i wschodniej Europy, z któremi nas łączą interesy wspólne. Z tego też względu obowiązani jesteśmy stosować taką politykę zagraniczną, któraby się przeciwstawiała wskrzeszeniu Rapalla, jako, że narażało nas ono na wojnę, prowadzoną równocześnie na dwu frontach. Na terenie międzynarodowym powinniśmy stosować taktykę umiejętną, któraby neutralizowała jednego z naszych wielkich sąsiadów, jak to obecnie mogłoby mieć miejsce z Rosją sowiecką.

Od naszej natomiast woli zależy bezpośrednio poprawa warunków materjalnych, stanowiących podstawę obrony kraju. O sprawach obrony państwa należy mówić z niezwykłą dyskrecją i rozwagą. Niemniej jednak atmosfera kwietyzmu cieplarnianego, a więc usunięcie wszelkiej krytyki w rzeczach kierownictwa, oddałoby wojskowości najgorszą usługę. Powtórzmy więc jedynie to, co czynniki decydujące uważały za stosowne parokrotnie obwieścić.

A więc, że potrzebny jest tutaj wysiłek niebylejaki. że brak nam dróg i komunikacji. że w dziedzinie motoryzacji jest wiele, bodaj najwięcej do odrobienia. Nie mamy dostatecznej ilości, ogólnie mówiąc, sprzętu wojskowego. Marynarka wojenna, lotnictwo i obrona przeciwlotnicza kraju pozostawiają pole olbrzymie dla energji prawdziwie twórczej. Czyż może dokonać tego dzieła naród, przy znanych trudnościach finansowych, osłabiony w dodatku waśniami i narzucaną mu zgóry walką bezwzględną a jałową, gdyż inscenizowaną w sposób sztuczny? A czas nagli. żyjemy w epoce niebywałego wyścigu zbrojeń, w którym przoduje Trzecia Rzesza wraz z Rosją Sowiecką.

Wprawdzie możemy tym niebezpieczeństwom przeciwstawić znakomitych wojskowych zawodowych i świetnego żołnierza, lecz to w warunkach wojny nowoczesnej nie wystarcza.

Moglibyśmy także podnieść do niezwykłej skali naszą determinację w obronie swobód, przywracając je obywatelom państwa. Moglibyśmy pomnożyć wtedy wielokrotnie siły moralne społeczeństwa i uczynić z nich atut pierwszorzędny, który obok sprawnej organizacji wojskowej zapewniłby Polsce bezpieczeństwo.

Ażeby jednak do tego dojść, zrozumieć wprzód należy, że w tej szerokości i długości geograficznej, na których skrzyżowaniu leży Polska, niema miejsca na naród słaby i wewnętrznie rozdarty.

Wzorowa mobilizacja, sprawna i szybka koncentracja, gruntowne i nowoczesne wyszkolenie wojsk, ich zmodernizowanie i obfite zaopatrzenie w najnowsze środki walki, podniesienie gospodarcze państwa i jego rozwój przemysłowy — uwzględniający produkcję seryjną — wszystko to są czynniki nieodzowne przyszłego zwycięstwa. Lecz ponad nimi góruje znakomicie jedność moralna narodu i armji. Bez niej byłoby trudno sprostać niebezpieczeństwom, jakie z sobą niesie wojna nowoczesna. Tembardziej, że spotęguje je rozkładowa propaganda polityczno - społeczna przeciwnika oraz barbarzyńskie metody wojny totalnej, wyjątkowo groźnej dla społeczeństwa.

STEFAN GLASER.

Pytanie palące

W chaosie stosunków życia współczesnego, „przewartościowywania wszelkich wartości (Umwertung aller Werte), — określenie, którem charakteryzowali uczeni niemieccy stosunki w dobie powojennej, nie przewidując jeszcze widocznie tego, co miało nastąpić w niedługiej przyszłości, — zamęcie, poglądach i przekonaniach, dotyczących najbardziej zasadniczych, podstawowych zagadnień życia, prawd niekiedy odwiecznych i dlatego, zdawałoby się, niewzruszalnych, bezładzie sposobu myślenia i rozumowania, — wyłaniają się wciąż problemy, wielce niepokojące, zdawałoby się niezrozumiałe, domagają się od nas rozwiązania; powstają pytania, powtarzane raz po raz, na które często daremnie szukamy odpowiedzi.

Jednym z takich właśnie problemów, takich jakby się zdawało, aktualnych zagadek, jest tak dzisiaj rozpowszechniony, w szczególności wśród młodego pokolenia, przewrót w poglądach na zasady i pojęcia prawne. Jakże dziś często młodzież, która kończy studja prawnicze na Uniwersytetach i która przekracza progi zawodów praktycznych, poczyna naraz wygłaszać poglądy, stojące w jaskrawej sprzeczności z tem wszystkiem, co powinna była wynieść z ław uniwersyteckich. Staje się naraz wyznawczynią jakichś zasad i teorematów, nie mających faktycznie nic wspólnego z prawem i jego nauką. Ma sobie nieraz za nic niewzruszalne podstawy prawa, kardynalne zasady i urządzenia, które ugruntowane w prawie rzymskiem, wytrzymały próbę dziejowego rozwoju i dziejowych wydarzeń oraz zmieniających się ustawicznie stosunków w życiu politycznem narodów, i przetrwały do dnia dzisiejszego, jako ta, zdawałoby się, niewzruszona opoka uporządkowanego życia społecznego i państwowego. Z ironią na ustach wyraża się o tem, czego ją niezawodnie nauczano jako elementarnych prawd w odniesieniu do prawa i sprawiedliwości, co w nią wpajano poprzez pryzmat wszelkich dyscyplin i w całym okresie studjów.

I otóż powstaje pytanie, które się z natury rzeczy do ust ciśnie: czem można i należy zjawisko to wytłumaczyć, jakie są jego przyczyny, co się na to składa? A nieraz pytający na tem nie poprzestają, nie ukrywając aluzji, a nawet nie szczędząc nieraz wymówek i zarzutów pod adresem ciała nauczającego: muszą być jakieś niedomagania, jakieś niedociągnięcia czy niedopowiedzenia w samem nauczaniu, gdy ono takie wydaje owoce...

Są to, rzecz jasna, podejrzenia niesłuszne, chociaż na pozór zrozumiałe i wytłumaczalne. Na zjawisko to składa się niewątpliwie splot okoliczności nieraz różnorodnych, a jednak mających wspólną więź, wspólne punkty styczne, o cechach, które się zazębiają i wzajemnie na siebie oddziaływują: niewątpliwie niepoślednie znaczenie przypisać należy temu, co nazywamy atmosferą powojenną z jej psychicznemi objawami i skutkami. Ale istota tego zagadnienia tkwi w czemś całkiem specyficznem, tak bardzo znamiennem dla naszych czasów i stosunków, — i tam też szukać należy rozwiązania i wytłumaczenia tej, jakby się zdawało, trudnej zagadki, — odpowiedzi na to palące pytanie. Mamy tutaj na myśli rozbieżność pomiędzy życiem a nauką, przeciwieństwo praktyki do teorji, sprzeczność pomiędzy lex lata a postulatami legis ferendae. Trzeba sobie uświadomić, że młodzież wchodząca dzisiaj w życie, to produkt stosunków i atmosfery ostatnich kilku lat, a zatem okresu, w którym życie codzienne, jak gdyby na urągowisko, uczyło i dowodziło, że kłamstwem są wszystkie prawdy w nauce uświęcone i w tradycji ugruntowane. Przez okno sali wykładowej czy seminaryjnej spogląda student na świat i widzi rzeczywistość, która jest odwróconym obrazem tego wszystkiego, co mu z katedry głoszą, która jest wręcz zaprzeczeniem tego wszystkiego, czego mu

się każą uczyć i w co mu każą wierzyć. A więc przekonuje się np., że niema praw nabytych, że ustawa może wstecz działać, chociażby skutkiem tego naruszone lub uszczuplone miały zostać zasadnicze prawa jednostki, że wolno pod pozorem prawa obrażać najświętsze, bo z istoty człowieczeństwa wypływające uprawnienia, że wolno odwoływać i przekreślać, to, co wczoraj zostało powiedziane i przyznane, że normy prawa pozytywnego mogą nieraz urągać prawidłom religji, etyki i moralności, że iluzją jest zasada niezależności sądów, że najwyższym celem procesu karnego jest nie zawsze ujawnianie prawdy rzeczywistej i realizowanie pojęciowej sprawiedliwości, że oskarżony nie ma równych praw procesowych z oskarżycielem, że prawu obcą jest rola wychowawcza i t. p. i t. p.

I czyż wówczas można się dziwić, że tego rodzaju widok i taki dysonans jest w stanie wywołać i faktycznie wywołuje w umyśle młodym i niedoświadczonym chaos i zwątpienie? Czy można się dziwić, że w tego rodzaju warunkach młodzież, u której często brak jeszcze skrystalizowanego poczucia prawa, mającego swe korzenie w etyce chrześcijańskiej, w zrozumieniu tego, co jest prawdą i dobrem, u której nie wytworzył się jeszcze jasny pogląd na powołanie i przeznaczenie człowieka, u której niejasny albo wręcz błędny jest pogląd na istotę i zadanie państwa albo wreszcie niedostateczne są częste wiadomości z historji lub w zapomnieniu te prawdy, których nas historja nauczyć była powinna, — że w tych warunkach młodzież skłonna jest raczej uwierzyć życiu niż nauce, ustawodawcy niż nauczycielowi? Jeżeli się przytem weźmie pod uwagę tak trudną, nieraz wprost beznadziejną dziś walkę o byt, o chleb codzienny, o pracę, której potrzeba wynika z natury ludzkiej, — to zaprawdę nietrudno przyjdzie zrozumieć, że rozpoczynająca się nieraz dopiero z życiem praktycznem szkoła charakterów, kończy się egzaminem, na którym życie odnosi zwycięstwo nad teorją. Ci atoli, którzy do takiego zwycięstwa rękę przykładają, zapominają o tem, że jest to zwycięstwo zaiste pyrrhusowe.

STANISŁAW ESTREICHER

Wołamy o silny rząd

Nietylko nie jestem przeciwnikiem silnego rządu w państwie polskiem, ale wprost przeciwnie: jestem gorącym zwolennikiem takiego ustroju państwowego, w którym rząd ma rolę kierowniczą i nie potrzebuje czynić nieustannych kompromisów na prawo lub na lewo. Zapatrywania takiego bronię nie od dziś i nie od wczoraj; broniłem go nawet i wtedy, kiedy „supremacja parlamentu“ nad rządem była hasłem jedynie popularnem, wyznawanem przez wszystkie niemal partje i partyjki. Zwłaszcza zaś wtedy, gdy „mała Konstytucja“ z r. 1919 urzeczywistniła zasadę „sejmu o władzy suwerennej“.

Pragnę to stwierdzić, aby z góry zaznaczyć, że następujące uwagi nie zmierzają wcale do przywrócenia znaczenia partyjnictwu, demagogji i sejmokracji w naszem życiu politycznem. Odegrały one tak smutną rolę w dziejach pierwszych kilku lat wznowionej niepodległości, że lęk zbiera, gdyby miały powrócić. Ale właśnie dlatego, aby nie powróciły, trzeba stworzyć w Polsce silny rząd.

Stworzyć? A czyż w Polsce nie mamy silnego rządu? Czyż Konstytucja roku ubiegłego nie uzbroiła rządu dostatecznie we władzę? Czyż nie postawiła na czele państwa nadrzędnego Prezydenta, przyznając Mu prawo rozwiązywania sejmu i senatu, prawo wydawania dekretów z mocą ustawy, o pociąganiu do odpowiedzialności politycznej ministrów, dając Mu w rękę zwierzchnictwo sił zbrojnych, wskazywanie swego następcy na dostojnym urzędzie, mianowanie prezesa rady ministrów i innych kilku dygnitarzy wedle własnego uznania, stosowanie prawa łaski, ważne prawa budżetowe? Czyż nie zapewniła szerokich praw prezesowi rady ministrów i poszczególnym ministrom: prawa wydawania rozporządzeń, inicjatywy ustawodawczej (w niektórych wypadkach nawet wyłącznej), decydującego wpływu na budżet, zabezpieczenia przed lekkiem i łatwem obaleniem rządu przez izby? Czyżbyśmy istotnie potrzebowali dopiero „stwarzać“ silny rząd w Polsce?

Biorąc *formalnie* Konstytucja z 23 marca 1935 r. wprowadziła w Polsce rząd silny i do jego atrybucyj nie możnaby już chyba niczego dodać. Ale tylko biorąc formalnie. Doświadczenie półtoraroczne wykazało, że siła rządu nie polega tylko na atrybucjach, przyznanych mu przez ustawę, lecz powinna być także oparta na zaufaniu całego społeczeństwa, na jego związku z prądami, jakie przez nie przebiegają, na ich odczuciu i umiejętności należytego zaspakajania. Tego wszystkiego jeszcze sama „formalna“ siła rządu nie gwarantuje.

Nie udało się natomiast wytworzyć w Polsce przez te półtora roku stronnictwa związanego z rządem a także związanego ze społeczeństwem; a więc stanowiącego łącznik między obu czynnikami. Bez takiego oparcia rząd wisi w powietrzu — choćby nawet i najsilniejszy. Opiera się on na zaufaniu Prezydenta — istotnie jest to wiele, może nawet bardzo wiele, ale nie wystarcza. W tak ciężkich czasach, w jakich żyjemy — w atmosferze przewrotów społecznych, nienawiści narodowych, zubożenia już nietylko masy chłopskiej i robotniczej, ale wszystkich warstw narodu, wreszcie grozy wojennej z każdym dniem większej, sam autorytet Prezydenta nie nadaje jeszcze dostatecznej siły rządowi. Autorytet od góry musi być umocniony autorytetem od samego społeczeństwa wychodzącym.

Namiastką, bardzo zresztą słabą i nieudolną takiego autorytetu, starają się zostać w Polsce pewne grupy, podające się za głos „całego narodu“ lub większej przynajmniej jego części. Walcząc z partjokracją, rozbito u nas partje i nie przyznano im legalnego miejsca w życiu politycznem. Naturalny teren, na którym partje polityczne żyły, rozwijały się i walczyły w imię pewnego programu, były to wybory do obu reprezentacji parlamentarnych i do samorządów. Ten teren został im odjęty, a partje straciły rację bytu. Zamiast partji jawnych i licznych zaczęły się tworzyć kliki i konspiracje. Dawne partje zaczęły się rozpadać, przywódcy ich stracili na nie wpływ, wydarto im z rąk ich kierunek, zapanował też i panuje coraz większy chaos. Trudno się nawet zorjentować w tych niezliczonych drobnych grupach, wzajemnie się zwalczających, na które podzieliła się narodowa demokracja, lub w tych koterjach i odcieniach, w których rozkłada się z każdym dniem niedawny B. B. W. R., będący mimo wszelkich braków organizacji przecież jaką taką próbą uchronienia się od amorfizmu politycznego. Życie polityczne polskie staje się coraz więcej amorficznem, zakulisowem i konspiracyjnem. Walczą, ze sobą jakieś nie występujące na zewnątrz tajne organizacje, starają się zapewnić sobie wpływ na rząd, rzucają mu pod nogi kamienie lub całe kłody, — czasem naprożno, ale czasem skutecznie, — a olbrzymia masa społeczna jest od łączności z rządem odcięta. Syci się ona jadem, poi obawą bliskiej przyszłości — a na rząd przyzwyczaja się patrzeć z obojętnością. Dobrze, jeśli tylko z obojętnością. Odnosi się to do całego społeczeństwa — nietylko do masy proletarjackiej.

Lekarstwo na taki stan rzeczy upatruję w stworzeniu łączności między rządem a społeczeństwem — jeśli rząd ma istotnie być „silny“. Łączność taką może rząd stworzyć przez dopuszczenie stronnictwa do udziału w życiu publicznem. Ordynacje wyborcze, które temu przeszkadzają, są dla siły rządu szkodliwe — raczej osłabiają go, niż wzmacniają. Stwarzają ciała reprezentacyjne fikcyjne, nie mające powagi, nie odgrywające pośredniczącej roli politycznej, zbyteczne. Zamiast, aby były łącznikiem między rządem a społeczeństwem, są dla społeczeństwa czemś obcem, solą w oku i cierniem w nodze. Zamiast, aby były klapą bezpieczeństwa dla nagromadzonej prężności — uwielokratniają siłę wybuchu. Ludzie, stojący od czynnej polityki z daleka, patrzą na ten rozwój z wzrastającą obawą.

To co piszę, nie jest żadnem — powtarzam — wzywaniem o powrót do sej-

mokracji i partjokracji, ale jest wezwaniem do rekonstrukcji stronnictw i wciągnięcia ich w obręb życia politycznego. Naturalnie trzeba zacząć od oparcia się nie o jakieś zakulisowe grupy, aspirujące na tajnych drogach o władzę, ale o dobrze zorganizowane stronnictwo, popierające program rządu. Obok niego trzeba pogodzić się z istnieniem grup, krytykujących program rządu i kontrolujących rząd. Sprawa publiczna nie może wyjść na tem źle, gdy rząd będzie musiał liczyć się z kontrolą i krytyką. Tak zresztą była w zasadzie pomyślana Konstytucja Kwietniowa, której postanowienia okazały się papierowe.

Brak dostatecznej krytyki i kontroli pozornie tylko sprzyja „sile rządu". Krytykę i kontrolę jawną przemienia na tajną, rzeczową na osobistą. Są to najgorsze sposoby krytyki, szerzące się drogą plotek, zakazanych ulotek i fałszywych zarzutów. Sposoby takie rozkwitły dzisiaj w Polsce jak najbujniejszy chwast. Kto z nas nie jest zasypywany ulotkami i oskarżeniami, których sprawdzić nie można, ale które podrywają w społeczeństwie wszelki moralny autorytet rządu? Kto, jak ja, pragnie naprawdę silnego rządu — silnego nie Berezą ani Brześciem, ale powagą i zaufaniem u społeczeństwa, — musi pragnąć innej, zdrowszej krytyki i kontroli.

Z tych to przyczyn wydaje mi się, że obecne ordynacje wyborcze zarówno do izb parlamentarnych jak i do samorządów poszły po błędnej drodze i że z drogi tej najwyższy czas zawrócić. Mam przekonanie, że ten cierń w nodze należy czemprędzej wyjąć, jeśli nasz pochód w górę nie ma doznać zahamowania. Nie wiem, jaki jest w tej sprawie pogląd sfer najgórniejszych, od których zawisły sprawy naszego państwa, ale to wiem na pewno, że my rządzeni, *plebs misera et contribucus*, gdyby ją ktokolwiek o zdanie zapytał, odpowiedzielibyśmy olbrzymią większością, iż tego rozdziału rządzących od rządzonych, wielmożnych od nic nie znaczących, pozornie silnych od pozornie tylko słabych — nie należy podtrzymywać.

WOJCIECH KORFANTY.

Kryzys państwowy

Ludzkość przeżywa dziś głęboki kryzys, ogarniający wszystkie dziedziny życia. Jest rzeczą niesporną, że kryzys ten ma przyczyny moralne. Nie jest więc nic dziwnego, że dziś i pojęcie państwa jako najdoskonalszego wyrazu życia społecznego przeżywa głębokie przesilenie, które mieści w sobie ogromne niebezpieczeństwo zarówno dla poszczególnych państw, jak i dla całej ludzkości. Objawami tego niebezpieczeństwa są namiętne walki wewnętrzne, jawne i podziemne wojny domowe i rosnące stale niebezpieczeństwo nowej wojny światowej.

Powiedział Proudhon, że każde zagadnienie polityczne w gruncie rzeczy jest kwestją religijną. Po głębszym zastanowieniu się, musimy przyznać, że ten pogląd, zakrawający na paradoks, nie jest pozbawiony słuszności. Na dnie każdego zagadnienia politycznego, a przedewszystkiem pojęcia państwa, mieści się pogląd teologiczny.

Każda koncepcja państwa wywodzi się z pojęcia idei człowieka. Czy człowiek z urodzenia jest dobry, czy zły? Czy człowiek jest istotą autonomiczną i samą sobie wystarczającą, lub też tylko składową cząstką wspólnoty, a przedewszystkiem najdoskonalszej wspólnoty, jaką jest państwo? Czy człowiek ma cele sięgające ponad cele państwowe, lub czy jest jedynie środkiem polityki państwowej? Odpowiedź na te pytania stanowi podstawę naszego pojęcia o państwach i naszego stanowiska w życiu politycznem, a nawiasem nadmieniając, jest także źródłem, z którego rodzą się obozy i stronnictwa polityczne i bezustanne ich walki. Walka z t. zw. partyjnictwem i tworzenie zgody narodowej w postaci jednej wszechwładnej partji jest pogonią za chimerami, bo cel jej jest sprzeczny z naturą ludzką.

W dzisiejszych czasach rozterki duchowej i moralnej t. zw. silni mężowie, którzy dorwali się do władzy, nader nisko cenią wartość człowieka i nie uznają praw jego osobowości. W ich oczach człowiek jest istotą na wskroś samolubną lub dzikim zwierzęciem, które może być tylko przedmiotem i środkiem wszechwadzy i polityki państwowej. Czy zatriumfuje na całej linji mizantrop Hobbes i jego pojęcie państwa, państwa Lewiatana, który jest źródłem moralności, prawa i wszelkiego życia na ziemi? Dla Hobbesa człowiek i wszelkie jego wspólnoty niższego rzędu w życiu państwowem odgrywają tę samą rolę, co „robaki w jelitach żywego człowieka". Państwo Lewiatan wolne jest od wszelkich względów moralnych i prawnych, a siła zastępuje w nim prawo. Wszechmocne państwo występuje dziś w dwu postaciach, w postaci bolszewickiej i faszystowskiej. Bolszewizm i faszyzm mają tendencje zaborcze, imperjalistyczne, zmierzające do zawojowania świata. Dzielą narody i państwa na dwa nienawidzące się obozy, walczące z sobą bez pardonu. Obraz tej walki widzimy w Hiszpanji, a wynikiem jej jest zniszczenie i barbarzyństwo.

Rozwiały się dawno marzenia optymisty Jana Jakóba Rousseau o doskonałości człowieka i państwa. Okazały się mgłą, jak rokokowe zachwyty i uniesienia nad przyrodą. Jego człowiek z natury dobry, absolutnie wolny, równy, autonomiczny i sam sobie wystarczający, jego pojęcie o wszechmocnym wpływie oświeconego rozumu ludzkiego, o idealnem państwie tworzonym na podstawie kontraktu społecznego, były tylko najsilniejszą formą reakcji przeciw absolutnemu państwu, której przeczy jednak rzeczywistość i życie. Utożsamiając rząd i rządzonych, Rousseau pominął wielkie zagadnienie autorytetu w życiu publicznem. Optymistyczne jego założenia prowadzić muszą logicznie do anarchji i rewolucji in permanentia. Wszelkie próby utożsamiania rządzących i rządzonych są przygotowywaniem gruntu dla państwa Lewiatana.

Oba te skrajne, a przeciwne sobie pojęcia państwa prowadzą do jego zguby i podkopują ład społeczny, którego warunkiem jest poszanowanie osobowości ludzkiej przy równoczesnem oddawaniu państwu tego, co mu się należy. Obu tym tendencjom prawdziwy patrjota i dobry obywatel musi się stanowczo przeciwstawić. Państwo dla nas musi być przedewszystkiem organizmem moralnym, a celem jego realizowanie sprawiedliwości przez poszanowanie prawa jako podstawy wszelkiego ładu na ziemi. Już Św. Augustyn powiedział, że państwo, nie uznające sprawiedliwości równa się jaskini zbójców.

Potęga państwa nietylko polega na wielkości jego obszaru, na sile jego armji, na liczbie, bogactwie, pracowitości i inteligencji jego obywateli, ale przedewszystkiem na moralnej tężyźnie jego narodu, na sumiennym spełnianiu obowiązku przez każdego obywatela na jego stanowisku, na poszanowaniu prawa przez wszystkich bez wyjątku, tak, aby stało się ono zwyczajem narodowym, i na ofiarnej gotowości wszystkich do ponoszenia wszelkich ofiar na rzecz państwa jako najwyższego dobra doczesnego, w którem dopiero się w pełni realizuje idea człowieka. Reżim polityczny, który w jakiejkolwiek dziedzinie życia zbiorowego narusza i gwałci prawo, niszczy tem samem moralne podwaliny państwa, a niszczy je tem skuteczniej, im dłużej trwa, chociażby się mógł nawet poszczycić pewnemi sukcesami zewnętrznemi.

Przeciwko reżimowi gwałcącemu prawa i nie uznającemu sprawiedliwości jako celu państwa, każdy dbały o dobro powszechne obywatel ma prawo sprzeciwu, a w pewnych wypadkach nawet buntu. Nie brak ludzi, którzy w imię rzekomych zasad chrześcijańskich, powołując się na słowa św. Pawła o wszelkiej władzy pochodzącej od Boga, głoszą, że dany reżim jest dopustem Bożym, i dlatego trzeba mu się cierpliwie poddawać. Takie stanowisko jest usprawiedliwianiem każdej zbrodni i każdego gwałtu w życiu publicznem i sprzecznem z zasadami chrześcijańskiemi. Reżim gwałtu i zbrodni jest wprawdzie dopustem Bożym, ale Bóg dał człowiekowi także rozum i wolną wolę, aby przy ich pomocy wpływał na kształtowanie

się form życia zbiorowego i dążył do takiego ustroju, który najskuteczniej realizuje dobro powszechne, którego treścią jest sprawiedliwość i poszanowanie prawa. Kto wchodzi w kompromisy z reżimem gwałtu lub usprawiedliwia go, nadużywa słów Pisma św. i popada w błędy sekciarzy, którzy nie uznają moralności przyrodzonej i prawa przyrodzonego.

Wychodząc z moralności przyrodzonej, Kościół Katolicki wysoko ceni godność człowieka a prawa jego osobowości za święte i nietykalne nawet dla władzy państwowej. Treścią nauki chrześcijańskiej jest bezgraniczna miłość Boga do człowieka. Ostateczny cel człowieka wybiega daleko poza cele państwa. Dlatego cele państwa nie mogą stać w sprzeczności z ostatecznemi celami człowieka, a polityka państwowa nietylko nie powinna stać na przeszkodzie człowiekowi w realizowaniu swojego ostatecznego przeznaczenia, ale mu osiągnięcie jego ułatwiać. I z tych względów katolickie pojęcie państwa obstaje przy poszanowaniu przyrodzonych praw człowieka, poszanowaniu jego osobowości i respektowaniu jego przyrodzonych praw W życiu zbiorowem, przedewszystkiem w życiu publicznem, żąda zaś przestrzegania prawa zgodnego z moralnością i realizowania sprawiedliwości jako jedynego celu państwa. Dobro powszechne jest nie do pomyślenia bez sprawiedliwości.

Raptularz tygodniowy

(MAŁA KRONIKA WYDARZEŃ, KTÓRE BYŁY I KTÓRYCH NIE BYŁO).

I.

Sejm i Senat, wyłonione przez nową ordynację wyborczą, odbyły swą pierwszą sesję na początku roku. Uchwaliły budżet i pełnomocnictwa. Minister skarbu Kwiatkowski zażądał pełnomocnictw i wielkiego kredytu moralnego. Pomimo depresji, która ogarnęła nawet posłów po ujawnieniu stanu skarbu, uważając to za ostatni moment do działania, uchwalono wszystko, czego minister żądał i dano całemu rządowi „carte blanche" w postaci pełnomocnictw.

Wówczas to po raz ostatni wystąpiła na zewnątrz grupa pułkowników, a przedstawiciele pp. Kozłowski i Świtalski próbowali zorganizować opozycję i mówili o uprawnieniach Sejmu i Senatu. Usiłowali wywołać wizję nowego porządku rzeczy, poczynającego się od Nowej Konstytucji a uważającego Sejm i Senat, wybrane na podstawie tej szczególnej ordynacji wyborczej, za istotne narzędzie regime'u. Usiłowania te dziwnym trafem nie udały się. Spotkaliśmy się wówczas z nowem zjawiskiem: z niepopularnością grupy pułkownikowskiej nawet w tych instytucjach, które powołane zostały do życia pod ich bezpośrednim nadzorem. Ten wgląd bezceremonjalnie wykonywany nie pomógł. Opozycja nie udała się praworządnym szefom grupy pułkownikowskiej tak gruntownie, że od tego czasu śladów działania na terenie sejmu już nie było (Sejm i Senat rozjechały się na trzykwartałowy wypoczynek).

Incydent opozycyjny wydaje się ważniejszy od innych, gdyż odsłonił równocześnie bezradność intelektualną i brak opanowania całej dyscypliny czy wiedzy o rządzeniu — przy pomocy opinji publicznej. Było to trudne, ale niezbędne. Bo jakże? Wielcy wrogowie społecznej i politycznej organizacji mieliżby teraz opinją mas się posługiwać, by dokuczyć rządowi, wyłonionemu zresztą z pośród nich samych? Powinniby wykonać woltę i powiedzieć: zmieniamy taktykę. Potrzebujemy opinji. Część jej musi być z nami. A tego nie mogli, ani nie chcieli powiedzieć.

Przed tem samem zagadnieniem stanął komendant związku legjonistów, któremu poruczono zorganizowanie obozu politycznego. Znalazł się na rozdrożu, (na którem zresztą także jeszcze niema pomnika), musiał więc szukać oparcia o coś żywego, o ludzi stojących pośrodku życia. I nie znalazł ich. Czy mamy przypominać całą historję legjonów od pierwszej chwili aż do maja 26 r.? Pułkownikom dzisiejszym przypadała w nich zawsze rola negatywna. Mieli coś wiązać, burzyć lub czemuś zapobiegać. Wydoskonalili się nadzwyczajnie w swojej technice. Tam, gdzie o paraliż od wewnątrz chodziło, tam każdy mógł na nich polegać, jak na Zawiszy, że rzecz będzie zrobiona. Ale przy budowie obozu, przy wyjaśnianiu sytuacji, potrzeba oczywiście całkiem innych metod, innej treści, potrzeba innych — mówiąc poprostu ludzi.

Myślimy tutaj naturalnie o stronie psychicznej. Nie można w białem świetle dnia, stojąc u steru władzy, robić konspiracji we własnem państwie i to prawdopodobnie na rzecz — programu państwowego. Bo przecież z tej strony ma pojawić się „program państwowy".

Biedne nasze państwo! Tylu państwowców się pojawia, rodzi się z dnia na dzień, ale od takich państwowców Państwu nie robi się lepiej.

Podobnie jak konstytucja i ordynacja wyborcza, uchwalone w sytuacji dość niezwyczajnej, wymagają retuszu, aby w obrazie państwa uzyskać miejsce właściwe — tak i teraz organizacja polityczna zaprząta uwagę w sposób, który niczego dobrego ogólnemu układowi sił nie wróży.

Bo państwowcy obozu rządowego stali się nie od dziś heroldami biurokracji i jej dominującej roli. Gdybyśmy poczęli dokładnie opisywać, co robi u nas administracja polityczna — zdumieliby się najwięksi sceptycy. Gdybyśmy wyszukali rzeczy najważniejsze z tych, których nie — robi, na pierwszem miejscu znalazłaby się: objektywna interwencja na rzecz porządku prawnego. Administracja polityczna u nas wymaga zasadniczego przestawienia na właściwe jej zadania i na nowy stosunek do ludności. Sama wie o tem i sama do tego wzdycha. Nim jednak nadejdzie dzień naprawy — stawała się i staje się jednym z aktorów ponurych wydarzeń, których każdy obywatel — nawet przeciwny zasadniczo obecnemu systemowi — pragnąłby uniknąć.

II.

Chłopi w ca-

łym kraju uchwalali podobne rezolucje, ruch ogarniał coraz dalsze zakątki i — po krótkiej przerwie podczas żniw — zakończył się ogromnemi obchodami rocznicy bitwy warszawskiej w dniu 15 sierpnia.

Obchody zamknęły niejako tegoroczną akcję polityczną chłopów, którzy wystąpili w bardzo trudnych warunkach jako element zwarty i jednolity i zdolny do wysuwania nawskroś państwowego programu. Nadzieje jednak, jakie masa chłopska łączyła z manifestacjami, nie spełniły się. Szef rządu gen. Składkowski szorstko i ostro wypowiedział się w sprawie politycznej amnestji dla tych polityków, którzy wyemigrowali po procesie brzeskim. Odmowa oznaczała także ponowienie prób utworzenia nowych organizacyj chłopskich. Różni zawodowi politycy, nie cieszący się na wsi jednak uznaniem, ani rozgłosem, podjęli się niezaszczytnej roli rozbicia jednomyślnego obozu chłopskiego. Bo dodajmy, że do rezolucyj nowosielickich dołączali się chłopi różnego autoramentu i różnej politycznej przynależności. Ruch, aczkolwiek wywołany i w wielu okolicach prowadzony przez stronnictwo ludowe, bynajmniej nie był ruchem jednego stronnictwa. Był ruchem ogółu chłopów polskich.

Z pociechą i nadzieją obserwowaliśmy te poczynania w nadziei, że zrodzi się z nich forma dla wielkiej pracy politycznej na wsi, która już bezwarunkowo do niej dojrzała, a obecnie szuka sprzyjających warunków. Zamiast sprzyjających warunków — otrzymała gromadę agitatorów, których prasa codzienna określiła mianem „kadzichłopów". I niezmiernie pomyślny dla organizacji i pracy pozytywnej okres został zmarnowany.

Jednakże Nowosielice dobrze zapisały się w kronice roku 36. Otworzyła się nowa karta ruchu chłopskiego i chłop sam, — już nie ten dawny, niepiśmienny i opiece potakujący, — ale świadomy swych celów obywatel pisze na nowej karcie.

Wiadomo jak powoli wieś na działanie się zdobywa i jak łatwo działanie jej opóźnić. Ale raz już wytworzone nastroje i raz ustalony program mają ciężar gatunkowy, którym żaden inny ruch wykazać się nie może. Dlatego musimy od wsi oczekiwać prób dalszego urzeczywistniania programu, o którym Polska dowiedziała się podczas nowosielickiego obchodu.

III.

Prawica polska oddawna nie wykazuje skłonności do ujednolicenia programu. Pod tym względem przejście wpływów od pokolenia starszego do młodszego nie wykazało żadnych zmian. Prawica, zdobywszy dzięki specjalnemu zbiegowi okoliczności większość mandatów w Radzie miasta Łodzi, rozpoczęła niesłychanie zasadniczą kampanję, która mogła świadczyć o wszystkiem tylko nie o chęci realnego wykonywania władzy w samorządzie łódzkim. Być może, że ewentualność taka nie uśmiechała się bynajmniej przedstawicielom Stronnictwa Narodowego.

— — — — — — — — —

Nie wchodząc bynajmniej w merytoryczną stronę zamieszek w szkołach wyższych, stwierdzamy, że roku szkolnego 1936-7 polska młodzież szkół wyższych właściwie jeszcze nie zaczęła i że niema w tej chwili czynnika, któryby zdawał sobie sprawę z niebezpiecznych konsekwencji przydługich wakacji. Jeśli inspirowani przez prawicę przywódcy młodzieży wyjaśnią nam swój punkt widzenia, chętnie przysłuchamy się interesującej tej argumentacji.

I na prawicy i w Stronnictwie Narodowem i w szczątkach O. N. R. dokonywają się przemiany, przyczem rozchodzą się ludzie, z których jedni powtarzają z niezmiernym uporem hasła maksymalne i chcą im nadać akcent natychmiastowej wykonalności, a drudzy pragną szybkiej, ale tylko ewolucji od obecnego stanu rzeczy do nowych form państwowych. Powstające stąd programowe zamieszanie powiększa tajna sympatja, jaką wodzowie prawicy żywią, niestety, nietylko do treści, lecz i do metod oficjalnej polityki zagranicznej obecnego rządu, co prowadzi niekiedy do załamania się linji opozycyjnej i w innych dziedzinach.

IV.

Rządy Marszałka Piłsudskiego z uporem niezwykłym przez cały ciąg kryzysu stosowały u nas politykę deflacyjną. D e f l a c j a — oto znamię całego okresu 1930 — 1935. Rok bieżący miał stanowić pewną zmianę, otwierał nową perspektywę, bo miał przynieść szerzej zakreślony plan inwestycyjny i miał dopuścić do działania prywatną inicjatywę. Nie stało się ani jedno ani drugie. Rząd nie wystąpił dotąd z programem inwestycyjnym, który podobno znajduje się jeszcze w „fazie opracowania", a tendencje upaństwowiania wielkich i małych warsztatów gospodarczych trwają niezmiennie i nadal, znalazłszy pod koniec najdobitniejszy wyraz w przejęciu pod zarząd państwowy tak kolosalnej machiny jak „Wspólnota Interesów" na Śląsku i bezpośrednio potem Zakładów w Żyrardowskich, których historja stanowi jak wiadomo jeden z najsmutniejszych i najciekawszych zarazem rozdziałów w postępach akcji etatystycznej w Polsce.

Żyrardów równocześnie był przedmiotem narad podczas zawierania pożyczki francuskiej. Polityka deflacyjna w naszej sytuacji była sprzecznością samą w sobie i jej znakomite podpory, jak prof. Zawadzki i pułk. Matuszewski, mówiąc o jej zaletach, nie wykazywały w najmniejszym stopniu zrozumienia skutków, do jakich nieuchronnie musi doprowadzić. Ponieważ nie wszystko da się wytłumaczyć dyletantyzmem, możemy resztę wytłumaczyć względami taktycznymi i nakazem z góry. Stosowaliśmy deflację wówczas, gdy Niemcy w r. 1933 a Rosja już znacznie dawniej rozpoczęły akcję inwestycyjną na największą skalę. Mogliśmy się cieszyć z ich przeinwestowania tak długo, póki wojenne inwestycje obu naszych sąsiadów nie uczyniły z nas technicznego kopciuszka, który drzemiąc znalazł się w tyle i prędko przeciera oczy na widok tego, co podczas jego drzemki się stało. I w roku bieżącym nie wysuwając żadnego planu inwestycyjnego, ani nie podejmując żadnej większej akcji polityczno - gospodarczej — uczyniliśmy idąc po linji najmniejszego oporu jeden krok naprzód: sfinalizowaliśmy pożyczkę we Francji, po której będziemy mogli najpilniejsze braki techniczne w dziedzinie uzbrojeń uzupełnić. O ile jednak inwestycje naszych sąsiadów pójdą jeszcze dalej, za rok lub dwa znajdziemy się znowu w tej samej pułapce, co dzisiaj ciągle narażeni na fallstarty i ciągle daremnie przyśpieszając kroku.

V.

W nowoczesnem społeczeństwie trzy działy pracy zbiorowej świadczą o zdrowym postępie lub szkodliwym zastoju: a) samorząd; b) spółdzielczość; c) akcja oświatowa. Tam gdzie można pod koniec roku powiedzieć, że dobrze się działo w samorządzie, spółdzielczości i akcji oświatowej — wiele trosk odpada, wiele nadziei przybywa. Oczywiście tej przyjemności dzisiaj u nas mieć nie będziemy. Samorząd był i jest zagrożony a nie ludzi nawet trzeba winić w tym wypadku a system, który wszędzie okazałby się niedobry, w Polsce, kraju początkującym, jest zdecydowanie szkodliwy. Przy całej różnicy poglądów, jaka nas dzieli od autorów ustawy samorządowej, musimy powiedzieć, że możnaby się na nią zgodzić pod jednym warunkiem, aby wybory wszelkie przeprowadzone były w atmosferze swobody. Rząd bowiem ma dość środków do ukrócenia nieodpowiedniej działalności wybranego samorządu i jego kompetencje pod tym względem powinny pozostać nieukrócone. Ale samorządu bez powolnego wychowywania samorządów niema. Tam jednak gdzie nie zatwierdza się legalnie wybranych takich ludzi, jak np. Cyryl Ratajski b. minister lub Władysław Mieczkowski b. dyrektor naczelny Banku Polskiego, że nie przypominamy mnóstwa innych pomniejszych przykładów, tam mamy do czynienia ze — złym przykładem idącym z góry. Tej metody nie gratulujemy nawet przeciwnikowi politycznemu. Samorząd w r. 36 stał w miejscu, pozbawiony kośćca, czekający na właściwych ludzi i inną atmosferę pracy.

Lepiej jest w spółdzielczości. Nie zmniejsza się ilość spółdzielni, spada ilość bankrutujących. Być może, że znajdziemy się na przełomie, kiedy spółdzielczość rolnicza wyjdzie z powijaków, usamodzielni się.

Rok 36 przyniósł szereg interesujących przykładów. Lepsza konjunktura przyśpieszyła proces rozwojowy.

Akcja oświatowa przebywa kryzys, który ostatnio bynajmniej nie okazuje dążności do zmniejszania się. Akcję oświatową w naszem państwie rozproszkowano na atomy a jeśli utrzymały się jeszcze większe zespoły jak T. S. L. i P. M. S. wymagają dużej pomocy z zewnątrz. Są działacze trwający na redutach, opuszczonych przez innych i obstrzeliwanych przez swoich i obcych. Potwierdzają tylko reguły, że jesteśmy pośrodku przemian bardzo poważnych. Państwo mogłoby kształcić działaczy oświatowych jako zespół pomocniczy dla nauczycielstwa. Nie czyni tego.

VI.

Rok 1936 nie był rokiem rozstrzygnięć pozytywnych jakkolwiek wszyscy odczuwaliśmy ich potrzebę. Zapowiadał niejedno, co pozostało w sferze — zapowiedzi. Wielkie prace państwowe i społeczne czekają na swych wykonawców, nowe pokolenie czeka na dzień, który zużytkuje jego energję, położy kres bezrobotnemu wyczekiwaniu jutra. Pewnem jest, że w obecnej formie ustrojowej i wynikających stąd warunkach politycznych i gospodarczych nie zmieści się taki wysiłek. Musimy dążyć do zmiany tej formy, do napełnienia jej zachodnią treścią. Rok 36 był rokiem przygotowań i wstępnych zabiegów. Oby następny był rokiem osiągnięć. Lecz gdyby ta praca i walka na dłużej rozciągnąć się miały, będzie rokiem wzrostu ruchu i natężenia woli czynu.

Tot.

W. NIENASKI.

Na rozdrożu

Exposé p. min. Becka w komisji spraw zagranicznych senatu było pełne optymizmu i pogody. Gdyby ktoś nie śledził wypadków światowych i sytuację oceniał tylko na zasadzie tego exposé, musiałby dojść do przekonania, że wszystko jest jak najlepiej na tym najpiękniejszym ze światów, że są tam pewne drobne kłopoty i troski, ale mniej więcej wszystko rozwija się normalnie, nie dając podstaw do zaniepokojenia. A już dyplomacja polska ma życie usłane różami. Od wizyty do wizyty, od bankietu do bankietu rozwija się zasięg jej stosunków międzynarodowych i rośnie jej znaczenie.

Nie jesteśmy wrogami optymizmu. Ale uznajemy tylko taki optymizm, który wynika z umiejętnego zebrania i ugrupowania tych elementów dodatnich, które w sytuacji międzynarodowej istnieją i które, zwłaszcza pod sam koniec roku, znacznie wzmogły się na siłach. Na tych elementach, które staraliśmy się zebrać w artykule „Trochę światła", opieramy nadzieję, że rok 1937 będzie nie tylko rokiem przełomowym, ale że przełom nastąpi w kierunku pokoju i współpracy międzynarodowej. Optymizm p. min. Becka powstał jednak w sposób znacznie bardziej uproszczony. Poprostu przez pominięcie wszystkich punktów ciemnych. Powstał z tego obraz bardzo jasny — ale bardzo odległy od rzeczywistości. Nie sądzimy, aby istotnie p. min. Beck żadnych ciemnych punktów nie dostrzegał. Ale nie uznajemy metody ukrywania ich przed opinją publiczną i kołysania społeczeństwa do spokojnego snu. Przebudzenie może być bardzo nieprzyjemne.

Tak znikły w exposé p. min. Becka wszystkie wielkie problemy światowe, które świat dzielą i kłócą, grożąc najstraszliwszym konfliktem. Komunizm, faszyzm i demokracja nie istniały w tem exposé. Psychologicznie rozumiemy to pominięcie doskonale. Bo trzebaby oświadczyć się za współpracą z państwami demokratycznemi, a tego przecież od p. pułkownika nie można oczekiwać. Ale od ministra spraw zagranicznych można i należy wymagać, aby kreślił obraz sytuacji zgodny z rzeczywistością. A, słusznie czy raczej niesłusznie, w rzeczywistości problemy te odgrywają obecnie olbrzymią rolę. I stanowisko Polski wobec nich nie jest obojętne. I nie sądzimy, aby wystarczyła tu tylko strona negatywna, opowiedzenie się przeciw ideologicznym podziałom. Rzeczy zaszły już tak daleko, że koniecznością się staje określenie swego stanowiska w sposób pozytywny.

* * *

Najbardziej metoda przemilczania odbiła się na obrazie stosunków polsko-niemieckich. Pominął tu p. min. Beck wszystko, co niepokoi społeczeństwo polskie, przypisując groźne objawy tylko „nerwom" po obu stronach granicy, i przeciwstawiając im „decyzję" obu stron. Przemilczał zupełnie najważniejszy bodaj fakt w 1936 r., datę 7 marca, zajęcie wojskowe Nadrenji i pogwałcenie Locarna, choć w sytuacji Polski spowadowało to bardzo ważne i bardzo niepokojące zmiany, oddalając ewentualną pomoc francuską. Pominął całą sprawę sprzeciwu Niemiec przeciw połączeniu rokowań o Locarno zachodnie z bezpieczeństwem na wschodzie, choć idzie tu właśnie o Polskę i res nostra agitur. Nie dostrzegł ręki niemieckiej w niepokojącym rozwoju spraw gdańskich. Dopiero w dyskusji przypomniano mu mowę frankfurcką min. d-ra Schachta. Wyjaśnienie, mimo pozorów uspokajających, wypadło bardzo niezadowalająco. Przez te przemilczenia i pominięcia stosunki polsko - niemieckie nabrały barwy różowej, ale odbiegły daleko, daleko od rzeczywistego stanu.

W polityce polskiej sprawa stosunku do Niemiec jest sprawą czołową i decydującą. Fałszywy obraz tych stosunków prowadzi do fałszywych wniosków. Skutki tego mogą być katastrofalne. Nie wolno chować głowy w piasek. Jeśli robi to polityka oficjalna, publicystyka niezależna musi wprowadzić do niej odpowiednie poprawki. I ten swój obowiązek spełni, choćby się to komuś niepodobało.

* * *

W tym właśnie punkcie poszedł atak na publicystykę niezależną. Na harcownika wypuszczono młodą gwardję z pod znaku „Buntu Młodych". Najjaśniej, z młodzieńczą naiwnością, odkrył on karty. I dlatego, choć inwektywy i insynuacje, a nawet nieprzyzwoitości, za jakie uważamy odszyfrowywanie publiczne pseudonimów, dyskwalifikują właściwie ten „niezależny organ młodej inteligencji", chcemy zająć się jego argumentacją.

W obronie stanowiska p. min. Becka przytacza on dwa argumenty. Jednym jest rzekome niedocenianie przez społeczeństwo „dobrodziejstwa poprawnych stosunków z Niemcami", drugim niebezpieczeństwo nowego Rapalla w razie ich popsucia się.

Zaczniemy od tego drugiego, dość nieoczekiwanego z tej strony argumentu. I my uważamy powrót do polityki Rapalla, do zgodnej współpracy niemiecko-sowieckiej za największe dla Polski niebezpieczeństwo. Śledzimy pilnie objawy, świadczące, że mimo pozorów odmiennych, nie wszystkie nici pomiędzy temi państwami są istotnie porwane. Pierwsi sygnalizowaliśmy tego niepokojące objawy. Sądzimy też, że wszystko, co przeciwdziała temu niebezpieczeństwu, leży w interesie Polski. Dlatego nie potrafiliśmy potępić umowy francusko - sowieckiej, której wiele ujemnych stron dla Polski widzimy, bo ona właśnie i przedewszystkiem oddala niebezpieczeństwo nowego Rapalla. Nie widzimy natomiast, jaką tu rolę ma odgrywać polityka polsko - niemiecka. Czy istotnie młodzieńcza naiwność autora „Rachunku sumienia" idzie tak daleko, że przypuszcza on, że Niemcy (bo chyba nie Sowiety) przyjaźń z Polską powstrzymałaby od porozumienia z Sowietami, gdyby uznały to dla siebie za korzystne? Nie wytrzymuje to najlżejszej krytyki. Tym argumentem nie można nas przekonać.

Poważniejszy jest argument drugi. Niema chyba w Polsce nikogo, kto nie pragnąłby poprawnych stosunków z Niemcami. W każdym razie my je wysoko cenimy. Wynika to już choćby z zadniczo pokojowego kursu, który pragnęlibyśmy widzieć w polityce zagranicznej polskiej. Zdradzimy zresztą jeszcze jeden sekret „Buntowi Młodych". Mieliśmy sposobność pracować nad ułożeniem poprawnych stosunków właśnie z Niemcami wówczas, kiedy nie śniło się o tem jeszcze obecnym kierownikom polityki polskiej. I bodaj pierwsi sygnalizowaliśmy możliwość ich poprawnego ułożenia właśnie z narodowymi - socjalistami i z Hitlerem. W archiwum M. S. Z. są na to dowody.

Ale pamiętać tu trzeba o trzech rzeczach. Po pierwsze poprawność stosunków z Niemcami nie jest i nie może być jednoznaczną z podporządkowaniem się polityce niemieckiej. Po drugie jest ona sprawą wzajemności. Po trzecie ceny, którą za nią trzeba płacić. Kto tego nie rozumie, powinien usunąć z nagłówka i „niezależność" i „inteligencję". Pragniemy poprawnych i pokojowych stosunków z Niemcami, ale nie chcemy wlec się w ogonie ich polityki. Pragniemy poprawnych stosunków z Niemcami, ale żądamy z ich strony wzajemności. I nie możemy zamykać oczu na objawy grożącego nam niebezpieczeństwa. Do utrzymywania poprawnych stosunków potrzeba dwuch. Wojnę może wywołać jeden. Nie możemy zapomnieć, że Niemcy do dziś dnia nie uznały dobrowolnie granic państwa polskiego. Traktat Wersalski uważają za wymuszony i dla siebie nie obowiązujący i żądają jego rewizji naszym kosztem, bądź w drodze t. zw. pokojowej, bądź przez stworzenie warunków, któreby pozwoliły im przeprowadzić ją siłą. Porozumienie polsko-niemieckie usuwa tą drogą ewentualność w najlepszym razie na lat 10. Nie jest jednak dostateczną podstawą do uznania stosunków polsko-niemieckich za trwale uregulowane. Nie mówiąc już o swoistym sposobie traktowania przez Niemcy nawet dobrowolnie zawartych umów. Nie wydaje nam się też, aby właściwem było prowadzenie z polskiej strony znanej „als ob Politik". Postępowanie takie, jakby po drugiej stronie granicy wszystko było w porządku i nie groziło nam żadne niebezpieczeństwo. Zamykanie oczu na przeciwne objawy i i wyolbrzymianie nic nie znaczących czułości, jak to czynił p. min. Beck w swojem exposé. Bo usypianie czujności społeczeństwa może mieć groźne konsekwencje. I spadając z obłoków złudzeń na twardą ziemię łatwo pogruchotać kości.

Wreszcie kwestja ceny. Pragniemy poprawnych stosunków z Niemcami, ale nie za wszelką cenę. Nie chcemy zapłacić za przyjaźń niemiecką nie tylko rewizją granic, Górnym Śląskiem, Pomorzem czy Gdańskiem, ale także popsuciem się stosunków z Francją czy nawet Czechosłowacją. Tu właśnie mamy również sporo do zarzucenia naszej oficjalnej polityce.

*

A z tem wszystkiem nie możemy zaprzeczyć, że exposé p. min. Becka dowodzi, że już zmieniło się niejedno w polskiej polityce zagranicznej. Był w niem znacznie cieplejszy ton w stosunku do Francji, były pożądane akcenty w stosunku do Anglji, nawet poprawność w stosunku do Rosji sowieckiej, Ale widać z niego, że zmiana idzie opornie. Dowodem uporczywe przemilczanie Czechosłowacji, dowodem omawiane już pominięcia w stosunku do Niemiec. Zbyt stało się w ostatnich czasach wyraźnem, po której stronie jest polska racja stanu i interes państwa, aby mogło to nie odbić się na polityce zagranicznej p. min. Becka, choć serce ciągnie go wyraźnie w inną stronę. Ta rozterka pomiędzy uczuciowym stosunkiem do Niemiec a zrozumieniem, czy tylko koniecznością dostosowania się do potrzeb polskiej racji stanu nadała ton całemu exposé. U wrót 1937 r. polityka polska stanęła na rozdrożu. Jest to postęp niewątpliwy i chętnie go przyznajemy. Ale to nie wystarcza. I nie jest dobrze, jeśli polityka jest robiona à contre coeur. Na polskiem rozdrożu stoją trzy drogawskazy. Jeden wskazuje drogę do Moskwy, drugi do Berlina, trzeci do Paryża, Londynu i Waszyngtonu. Polityka p. min. Becka waha się pomiędzy dwiema pierwszemi. My sądzimy, że czas najwyższy wejść zdecydowanie na tę trzecią drogę. Obawialibyśmy się zbyt długiego przystanku na rozdrożu. Bo czas nie stoi w miejscu i wypadki toczą się szybko. A kto nie może zdobyć się na decyzję, kogo serce ciągnie w inną stronę, niż wskazuje to interes państwa, ten nie może sterować polityką polską, zwłaszcza w tak trudnym okresie, jak obecny. Nie można przezwyciężyć trudności prostem ich pomijaniem.

Kronika zagraniczna

O POLSCE WE FRANCJI.

Wniesienie do parlamentu francuskiego sprawy gwarancji państwa dla pożyczki polskiej dało sposobność do omówienia w komisji spraw zegranicznych stosunków polsko-francuskich. Szczegółowych wyjaśnień udzielił min. Delbos, zapewniając, że „przyjaźń polsko - francuska nietylko nie uległa żadnemu przedawnieniu, ale należy również mieć nadzieję, że polityka polska już niezadługo wykaże swą jednolitość i ciągłość tak dobrze wobec Francji jak i wobec sojuszników jej z Europy Środkowej.“ I my mamy nadzieję, że już niezadługo...

NACISK NA NIEMCY.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że wzrósł nacisk na Niemcy ze strony Francji i Anglji, których polityka jest obecnie zupełnie jednolita. Idzie przedewszystkiem o Hiszpanję, ale nietylko o Hiszpanję. Odosobnienie Niemiec, wobec zbliżenia angielsko - włoskiego i, bądź co bądź, pewnej ewolucji polityki polskiej, jest w Europie kompletne. Odosobnienie gospodarcze wykazuje już wyniki, widoczne w trudnościach wewnętrznych. Staje się już coraz wyraźniejszem, że tak dalej nie można. Albo więc ustępstwa i współpraca międzynarodowa polityczna i gospodarcza, albo wybuch kotła niemieckiego, który byłby groźny dla Europy, ale bodaj jeszcze groźniejszy dla Niemiec samych. Waży się w Niemczech decyzja. Nacisk francusko - angielski powinien ją przyśpieszyć. Miarą będzie tu sprawa Hiszpanji, z której Niemcy musiałyby się wycofać, jak to czynią Włochy. Ale bodaj jeszcze ważniejszą miarą będzie sprawa zbrojeń, których ograniczenie, wobec znanego stosunku Niemiec do umów międzynarodowych, może być jedynym sprawdzianem właściwych intencyj. W zamian mogą uzyskać pomoc finansową i gospodarczą, zwłaszcza ułatwienia w nabywaniu surowców. Chciałyby jeszcze kolonij i wolnej ręki na wschodzie. Ale z tem będzie już chyba bardzo trudno.

ANGLO - WŁOSKIE GENTLEMAN AGREEMENT.

Rokowania angielsko - włoskie zbliżają się ku końcowi. Lada dzień spodziewane jest ogłoszenie brzmienia gentleman agreement w sprawie morza Śródziemnego. Warunkiem wstępnym jest uznanie podboju Abisynji, do czego pierwszym krokiem jest przemianowanie poselstw angielskiego i francuskiego w Addis-Abebie na konsulaty generalne. Ze strony włoskiej wstępnem ustępstwem jest wycofanie się z Balearów. Niewątpliwie porozumienie angielsko - włoskie pociągnie za sobą poprawę stosunków francusko - włoskich. Nie jesteśmy jednak optymistami i sądzimy, że do frontu Stresy jest jeszcze daleko. Raczej możliwy jest powrót do prób zawarcia nowego paktu czterech. W każdym jednak razie gentleman agreement Anglji i Włoch spowoduje znaczne odprężenie w sytuacji europejskiej. Jedynym czynnikiem niepokoju zostaną już tylko Niemcy.

NOWY ZWROT W CHINACH.

Pojednanie się marszałka Czang Hsue Lianga z marszałkiem Czang Kai Szekiem i przyjazd obu do Nankinu kładzie kres wojnie domowej. Nie są bliżej znane warunki tego pojednania. Zewnętrzne formy uniżoności i skruchy ze strony Czang Hsue Lianga są zapewne zwykłym objawem chińskiego ceremoniału. Nie należy ich przeceniać. Zapewne stanął jakiś kompromis, którego głównym punktem jest zmiana polityki wobec Japonji. Chiny nie będą już tak ustępliwe. Zaniepokojenie z tego powodu przebija z prasy japońskiej. Sytuacja Japonji na Dalekim Wschodzie staje się znacznie trudniejsza. Nie będzie to bez wpływu na politykę Niemiec w Europie. Po roku wielkich sukcesów państwa „dynamiczne“ wchodzą w nowy rok pod znakiem niepowodzeń. Dla pokoju świata objaw to niezmiernie pomyślny.

TADEUSZ LEWICKI.

Pokarmy ochronne

Po długiej i pracowitej pracy przygotowawczej Organizacja Hygjeny Ligi Narodów nadaje praktyczną wartość propagandzie: „aljans ekonomji z hygjeną”, czyli dostosowania produkcji rolnej i przetwórstwa ziemiopłodów do wymagań zdrowego odżywiania, — wskazując w tem czynnik do przełamania kryzysu światowego.

Specjaliści, najlepiej zorjentowani, już od kilkudziesięciu lat wiedzą, że głównem źródłem chorób i zmniejszonej wartości do pracy jest w odżywianiu niedobór pewnych składników mineralnych oraz tych nieuchwytnych ciał, które przed ćwierć wiekiem otrzymały nazwę witamin. Pokarmy, pokrywające owe niedobory, Org. Hygjeny Ligi Narodów ochrzciła mianem: „aliments protecteurs”, co u nas nazwano terminem: „pokarmy ochronne”.

Obecnie Liga Narodów podjęła szeroką inicjatywę, zalecając państwom „edukowanie lekarzy i hygjenistów” oraz matek i przewodników życia publicznego: edukowanie w zakresie racjonalnego używania pokarmów.

Organy Ligi Narodów położyły nacisk na potrzebę racjonalnego konserwowania jadalnych ziemiopłodów i ustaliły instytucje międzynarodowe, przeznaczone do wszechstronnego badania zdrowotnej wartości pożywek i orzekania, czy są „ochronnemi” dla zdrowia i w jakim stopniu. To otwiera drogi uczciwej produkcji. Jak to nam potrzebne, świadczą pewne liczby:

Oto ziemie Państwa Polskiego miały przed wojną o trzecią część więcej fabryk cukru, niż obecnie. Cukrowni unieruchomionych przybywa.

Liczba gorzelń spadła z 2466 do 1400. W roku 1931/2 zamknięto 59 gorzelń!

W jednym roku 1930/1 nasza produkcja cukru spadła z 776 do 493 miljonów ton: prawie o czterdzieści procent.

W dwóch latach: 1929/30 do 1931/32 nasza produkcja spirytusu spadła z 82 na 39 miljonów litrów, więcej, niż o połowę.

Dalszy spadek wisi w powietrzu, bo Liga Narodów(nie całkiem słusznie) silnie atakuje zdrowotną wartość spożywania cukru, a używanie spirytusu przez amatorów będzie malało w miarę przekształcenia mas w zakresie djetetyki.

Wszystko to można z nawiązką powetować, rozwijając w myśl dezyderatów Ligi Narodów produkcję konserw, zwanych „żywemi”, z rabarbarum, ogórków, pomidorów, dyni etc.

Do tego mamy prawie gotowe urządzenia w cukrowniach i w gorzelniach, a jedne i drugie, o ile nie są całkiem zamknięte, czynne są tylko w tej porze roku, która nie przypada na zbiór wspomnianych ziemiopłodów.

Oto przysłowiowe „złoto, leżące na ulicy”. Czemu nie śpieszymy go podejmować, gdy wzywają o to potrzeby zdrowia i walki z bezrobociem, a Liga Narodów toruje drogi tym, co nie są opieszali?!

ADAM GRZYMAŁA SIEDLECKI.

Czysta sztuka a polityka

O jakiej sztuce i literaturze — i o jakiej polityce chcę mówić w niniejszych rozważaniach?

Nie mam tu na myśli takiej literatury, czy sztuki, która z góry chce służyć intencjom danego rządu czy danego stronnictwa, bo dzieła podobnego typu rzadko kiedy zasługują na miano prawdziwej sztuki. Chcę mówić raczej o t. zw. sztuce czystej, która zadania szczerze artystyczne ma na celu.

Nie mam też na myśli polityki, pojętej jako taktyczne, szachowe poruszenia danego stronnictwa, czy danego rządu. Chcę mówić o polityce, jako dynamice sił, dążących do utrwalenia i wzmacniania narodu i państwa.

Tak ustaliwszy pojęcia, powtórzmy jeszcze raz pytanie: czy sztuka, poezja, powieściopisarstwo, dramat są współczynnikiem polityki? Na przykładzie: czy np. „Sonety Krymskie" mogą uchodzić za składową część polityki narodowej naszego narodu?

Odruchowo powstaje w nas odpowiedź: „nie!" — „Sonety Krymskie" są arcydziełem, ale cóż mogą mieć wspólne z polityczną dynamiką Polski? — rozszerzymy zapewne nasze odruchowe „nie".

Postaram się przeprowadzić dowód, że „Sonety Krymskie" dobrze się zasługują polityce polskiej przez to właśnie, że są arcydziełem. Dobrze polityce służą, choć są tylko opisem i nic więcej, a do tego opisem obcego kraju.

Dla porozumienia się sięgnijmy do przykładu:

Po wielokroć zdawaliśmy sobie sprawę, że Wielka Brytanja jest potęgą polityczną, że nie w jednym wypadku świat od niej zależy. Oczywiście znamy przyczyny, które W. Brytanję czynią ową potęgą: olbrzymie dominja i kolonje, zjednoczone pod berłem dziś Jerzego VI, nieprzebrane bogactwa surowców, imponujący przemysł, zawrotne obroty handlowe etc. Wiemy jednak, że jeśli W. Brytanja doszła w wynikach historycznych do tego stanu rzeczy, to naród angielski od wieków musiał rozporządzać *duchem*, wolą, umysłem, charakterem, które ten naród musiały doprowadzić do podobnych zdobyczy. Duch, genjusz angielski... Jakież uchwytne zjawiska, jakież nazwiska angielskie uzmysławiają nam siłę tego ducha, siłę myśli, siłę genjuszu Wielkiej Brytanji? Szekspir, Defoë, Dickens, Byron, Kipling, Gainsborough, Turner, Rossetti, architektura świątyń i zamczysk.

Oczywiście, gdy nad temi sprawami zastanawiają się uczeni specjaliści, to dorzucą tu jeszcze spis filozofów, socjologów, prawników, fizyków, chemików, biologów, którzy sławę Anglji roznieśli po całym świecie, — my ludzie przeciętnie oświeceni zatrzymamy się jednak zawsze na arcydziełach poezji i sztuki angielskiej. *Artyści* angielscy dają nam sobą wiadomość o genjuszu Wielkiej Brytanji. Dają nam wiadomość i coś więcej jeszcze: sztuka, poezja, twórczość artystyczna anglików aprioryzuje nam potęgę narodową, a więc w konsekwencji, i polityczną potęgę Anglji. Przez sztukę angielską, przez Szekspira choćby, zdaje nam się zrozumiałe panowanie Wielkiej Brytanji na wszystkich kontynentach. Zrozumiałe tak, jak zrozumiałe dla nas było panowanie *cywilizowanego* Rzymu nad światem, gdy niepojętym, paradoksalnym dla naszego odczucia jest zalew Europy przez barbarzyńskich mongołów w XIII stuleciu.

Szekspir, Byron, opactwo Westminsterskie, arcydzieła malarstwa angielskiego sprawiają to, że dla przeciętnie oświeconych społeczeństw obu półkul świata potęga polityczna Wielkiej Brytanji staje się sprawą zrozumiałą, zasłużoną i nawet słuszną.

Ministerja spraw zagranicznych dobrze zrozumiały to atutowe znaczenie kultury i sztuki i dziś już mamy na świecie szeroką sieć propagandy artystycznej, jaką każde niemal państwo stara się, niby akompanjamentem, podtrzymywać główne swoje „melodje" dyplomatyczne.

Czy jednak tylko eksportowe znaczenie w polityce ma sztuka danego narodu?

Państwo, które nie chce być krótkowzrocznem naśladownictwem antycznych despotyj, państwo, chcące myśleć stuleciami, nie dziesiątkiem lat — na czem głównie opiera swoją siłę moralną? Opiera się na takich sposobach politycznie - wychowawczych, by możliwie największą ilość mieszkańców swego terytorjum przekształcić w typ dobrego obywatela państwa.

Co to jest *obywatel* w moralnych kategorjach tego pojęcia? Jest to jednostka, która świadomie, z pełnem przekonaniem, z wewnętrzną potrzebą chce sprawom publicznym swojej ojczyzny oddawać część swojego „ja", swoich wysiłków, zdolności, swojego dobra materjalnego; — jednostka, która tym celom, jako rzecz należną, odda i życie nawet, gdy zajdzie potrzeba. Czy takie *uczucia obywatelskie* są człowiekowi przyrodzone?

Z przyrodzenia człowiek jest samolubem, naturalna jego ofiarność nie wybiega poza ramy jego najbliższej rodziny conajwyżej. Przed pobudkami odśrodkowemi, społecznemi, obywatelskiemi człowiek pierwotny broni się tak, jak małe dziecko broni się przed mydłem i wodą. I dopiero staranna uprawa, wiekami doń stosowana, — dopiero narzucana mu *kultura bezinteresowności* wyrabia w jego duszy to nastawienie psychiczne, które nazywamy zmysłem obywatelskim.

Kultura bezinteresowności... Każdy z nas łatwo dostrzeże, że religja musiała być najpewniejszą szkołą tej kultury. Nawyk zwracania myśli ku rzeczom nie z tego świata, nawyk korzenia się przed Bogiem, nawyk ofiarności swej duszy w modlitwach — były tym pierwszym szczeblem, na którym nasze „ja" wyzbywało się swej egocentryczności. Poza religją, jako dalszy — świecki już — rozrost tej bezinteresowności nabywaliśmy i nabywamy przez sztukę. Wzruszenia, jakie w nas wywołują zjawiska artystyczne, przyzwyczajają nas zwłaszcza do *bezinteresownych wyobrażeń.*

Każdy z nas, z własnej introspekcji to doświadczał: zanim podejmiemy jakiś czyn czy działanie, — choćby przez drobny ułamek sekundy musimy w sobie stworzyć plan tego czynu, *widzieć* ten czyn w sobie. Inaczej mówiąc: poza sferą odruchów, każde nasze postanowienie musi przejść przez kondygnację wyobraźni. Wyobraźnia jest tem psychicznem łonem, gdzie zaródź impulsu rośnie w organizm czynu. Jakże uciążliwą musiała ludzkość odbyć drogę, — przez jak udręczające przejść musiała przezwyciężenia swoich przyrodzonych, egocentrycznych popędów, by wyobraźnię swoją uczynić narzędziem, chętnem do przerabiania wyobraźni bezinteresownych, sprzecznych z bezpośredniemi potrzebami istnienia ludzkiego! Jak srogą musieliśmy w sobie odcierpieć szkołę, zanim miłym i potrzebnym pierwiastkiem stała nam się myśl, a zwłaszcza wzruszenie, dalekie od korzyści naszego bytu. Inaczej mówiąc: jak srogą ludzkość musiała przecierpieć szkołę, by stać się podatnym gruntem np. dla kultury obywatelskiej, politycznej!

Na tę szkołę naszej wyobraźni składało się wiele dyscyplin, ale najważniejszą z nich była bodaj *sztuka.* Ona to psychiczny nasz organizm przyzwyczajała do *niezbędności* rzeczy, *zbędnych naszej* egocentryczności. Przez nią wyobraźni naszej łatwiej było potem pojąć w sobie gotowość do oddawania części swojego „ja" czemuś, co leży poza utylitarną sferą naszego „ja", a więc i oddawania części swoich wysiłków i zasobów sprawom publicznym. Od jaskiniowych rysunków troglodyty, po przez niezartykułowane zawodzenie śpiewne barbarzyńcy aż do... „Sonetów Krymskich" wyrabiała się w ludzkich umysłach, w ludzkiej woli ta podatność do bezinteresowności, z której potem pełną garścią czerpała swój trybut — polityka w najgodniejszem słowa znaczeniu.

Ta oto *polityczna* rola sztuki, artyzmu, najbardziej nawet abstrakcyjnych natchnień — nie jest bynajmniej zamkniętą księgą rozwoju ludzkiego. Jak przed wiekami, tak i dziś, sztuka kształtuje wyobraźnię, nie daje jej przejść w stan utylitarności — i przez to bezustannie wytwarza stany duchowe, a więc stany, bez których rozumna polityka obejść się nie może. Dobry polityk, czujna publicystyka polityczna winna zajmować się przejawami artystycznemi, jako jednem z bujniejszych źródeł, sposobiących człowieka, by nabierał zdolności do stawania się typem obywatelskim.

MARJAN KUKIEL.

Polski mąż stanu

(W 75-lecie zgonu księcia Adama).

ZAPOMNIANA ROCZNICA.

W rocznicę listopadową, w pięknym artykule „Czasu", dr. Stanisław Sidorowicz rzucił pytanie „...żali niewdzięczność jest jedyną cnotą Polaków?" Uderzył na „nienawiść i zapomnienie", z jakiem Polska współczesna odnosi się do „Wielkiego Polaka", księcia Adama Czartoryskiego. Upominał się o 75-letnią rocznicę jego zgonu, która w lipcu b. r. przeszła niepostrzeżenie. A dodać trzeba, że równie niepostrzeżenie przeszła rocznica 50-ta zgonu naszego wygnańczego „króla de facto", w roku 1911, a także, w r. 1920, stupięćdziesiąta jego urodzin. Tylko, że w roku 1911, gdy jedni szli najostrzej przeciwko Rosji, skłonni w Czartoryskim widzieć ugodowca, drudzy z Rosją przeciw „państwom centralnym", skłonni w Czartoryskim widzieć emigracyjnego, nieprzejednanego spiskowca, trzeci obstawali przy organicznej pracy i politycznej rezygnacji, skłonni w Czartoryskim widzieć romantyka, mało kto zaś go rozumiał i czuł się mu bliskim. W roku 1920 dramat teraźniejszości zaprzątał, przesłaniał przeszłość. Pozostaje to zapomnienie tegoroczne — najświeższe. I ten fakt uderzający: że książę Adam nie ma w Polsce pomnika, że nie ma jego imienia na żadnej ulicy czy placu żadnego bodaj z miast polskich; nawet w Puławach administracja Polska usunęła przeoczone przez zaborców ostatnie znaki, świadczące, że to był dom prezesa Rządu Narodowego, skazańca i tułacza, księcia niezłomnego naszych dziejów listopadowych.

NIE NAUKA TU WINNA.

Nie należy winić nauki polskiej, jak to czyni potrosze p. Sidorowicz. Zrobiła ona w ostatniem czterodziestoleciu bardzo wiele, by wyświetlić długie dzieje księcia Adama; a w świetle tych badań, przeważnie podejmowanym z pewnem w stosunku do polityki Czartoryskiego apriorycznem zastrzeżeniem, wyrastała jego postać, coraz szlachetniejsza i większa. Nie napisał Askenazy zamierzonego, wielkiego o nim dzieła. Ale z kart prac jego i jego szkoły wyczytać da się wszystko prawie o księciu Adamie w jego okresie współpracy z Aleksandrem, o rosyjskim ministrze, sterującym przez rozbicie Prus od odbudowania Polski, o strasznych „rozdrożach", na których się znalazł i na których umiał być szermierzem śmiałym i nieugiętym polskiej racji stanu, o ciężkich i bolesnych osobistych jego przeżyciach, o heroicznym wysiłku doby przedkongresowej, rozpaczliwych walkach na kongresie, o tworzeniu Królestwa, goryczy zawodów; o walce z Konstantym i Nowosilcowem przegranej; o rozstaniu się z Aleksandrem — szekspirowska scena w Wołosowcach. O postawie wobec Mikołaja. I że Sądu Sejmowego był duszą. Wydobył Kallenbach pierwszą redakcję „Barda" i wstrząsający wiersz o więźniach karmelickich i tańczącej Warszawie.

Pracę nad wyświetleniem roli księcia Adama w Rewolucji przerwał Askenazemu zgon; a rozprawa p. Nagórskiej-Rudzkiej o tym przedmiocie wymaga gruntownej rewizji po gruntowniejszem zbadaniu wielkiego przedmiotu. Za to dzieje emigracyjnej polityki Czartoryskiego, przez Askenazego nie docenione, traktowane raczej jako zgoła nierealne błądzenia pielgrzyma, po raz pierwszy dzięki pracom Handelsmana i jego szkoły zarysowały się nieoczekiwanie potężnie. Moralnej ich wielkości odpowiadała wielkość koncepcyj, ogrom realnego wysiłku. Słowacki widział księcia Adama wielkim „zamiarami, choć nie skutkiem". Dziś widzimy, że skutkiem jego wysiłków sprawa polska w polityce międzynarodowej żyła, i ważyła przez całe ćwierć wiecze po katastrofie 1831 roku. Zdumiewających dowiadujemy się rzeczy o ciągnącym się przez dziesięciolecie pojedynku starca - banity z carem. O jego polityce osaczania i ubezwładniania Rosji, wzniecenia przeciw niej oporów, piętrzenia trudności na jej drogach. O formalnych, zawieranych przezeń sojuszach z państwami, jak papieskie, jak sardyńskie. O jego porozumieniach z Turcją, Egiptem, Francją, Anglją, o jego opiece nad narodami bałkańskiemi i orędownictwie za niemi u Porty, pośrednictwie między niemi, a Węgrami.

KORNEL MAKUSZYŃSKI.

Stary - oszust, a młody - cygan

Znowu będzie Nowy Rok: zgrabniej mówiąc — nie: znowu, tylko „od nowa".

„Szło dwóch w nocy z wielką trwogą, wtem Rok Nowy bieży drogą. Bieży, bieży, już ich mija, podniósł ogon i wywija..." — Stary zaś kulawiec, koszmarny połamaniec, zdemaskowany oszust, złośliwy sinotyły pawian, skurczybyk wielkiego kalibru pójdzie do tego składu i do tej rupieciarni, w której się w niewiadomym celu przechowuje połamane krzesła, zbutwiałe tygodniki, emerytowanych ministrów, popękane garnki, książki bez okładek i ramy bez obrazów. Ciasno musi być w tym ponurym składzie, jeśli się zważy, że wiecznym snem śpi w nim kilkadziesiąt tysięcy żółtych roków chińskich, kilka tysięcy egipskich, tysiąc trzysta pięćdziesiąt pięć tureckich, pięć tysięcy sześćset dziewięćdziesiąt siedem żydowskich, siedem tysięcy czterysta czterdzieści pięć ery bizantyńskiej i tysiąc dziewięćset trzydzieści sześć roków ochrzczonych. Pozatem czereda takich i owakich, różnego, lub nieznanego pochodzenia. Są w tej ciżbie roki wspaniałe i dostojne, są jednak, a do tego w znamienitej większości, jak Żydzi w izbie adwokackiej, i takie, które sobie z jadowitą lubością przypominają, jak to jeden przyniósł na świat cholerę, inny potop, a inny trzęsienie ziemi.

Strach pomyśleć, coby się działo ze światem, gdyby taki czarny rok żył dłużej, niż rok. Mądre jest to przeto urządzenie, że młodzieniaszek w styczniu jest beznadziejnym paralitykiem już w grudniu. Trawa szybko rośnie, ciasto na drożdżach jeszcze prędzej, plotka prędzej od trawy i ciasta, długi rosną prędzej niż trawa, ciasto i plotka, a najprędzej rośnie taki syn Czasu, rok. W ciągu kilku miesięcy różowy, idjotycznie uśmiechnięty amorek dojrzewa, zaczem mu rośnie broda po sam pas, zmarszczki go pokrywają, jak kora stary dąb, stęka, trzeszczy, kosą się podpiera, wreszcie łachmanem okryty, zdąża do rupieciarni, do matecznika. Nie widziałem jeszcze starego roku bez brody, kosy i łachmana. Z tego widać, że wieczność odrazu schodzi na psy, skoro się tylko zetknie z ludźmi.

Jak w tej anegdotce, która zapytuje: — „Co to jest świnia?" — „Świnia jest to dzik, co w ludzkiem towarzystwie stał się świnią"... — Stąd to zapewne pochodzi, że ludzie upijają nowy roczek i bęben wskutek zatrucia alkoholem dostaje kołowacizny i odrazu więdnie. Czy można się dziwić, że tak szybko schodzi na dziady, skoro rozpoczął życie w szynku? Więc potem tylkoby pił i pił. Wpada w delirium i nieprzytomne rzeczy czyni przez swoje dni: szuka z każdym zwady, zgrzyta zębami i pragnie krwi; oszukuje i kradnie, trzęsie ziemią, podpala miasta, wali kilka warszawskich domów, obdziera biednych, inscenizuje rewolucje, zboże i kawę sypie, łajdak jeden, w morze. A zmęczy się cokolwiek, to się prześpi w Lidze Narodów i nazajutrz znowu swoje zaczyna, bęcwał, dziedzicznie obciążony. Cały świat wierzył oszustowi, kiedy więc oszust całkowicie zgłupiał i stał się małpio złośliwy, pędzą go wszyscy, jak krwawego upiora, i od nowa zaczyna się komedja, stara i nudna.

Niepoprawni synowie nadziei, klaska-

O jego protektoracie nad góralami Kaukazu. A dalecy jesteśmy jeszcze od tego, by wiedzieć dokładnie, czem dla ludzi Zachodu, dla Anglików, Szkotów, Francuzów, Włochów, Szwedów był Czartoryski — symbol skrwawionego, ujarzmionego, a nieugiętego, nieśmiertelnego i niespożytego narodu.

Nauka zrobiła tu swoje. Jak mogła najrzetelniej. Nie o to szło, by wynieść Czartoryskiego na cokół pomnika. O to, by dojść prawdy. Prawda okazała się piękną i wielką.

PATRJOTA.

Marzeniem jego młodości była walka za ojczyznę. Jako żołnierz bronił upadającej Rzplitej. Jako Prezes Rządu Narodowego na równi z żołnierzem wystawiać się miał na kule w walce o niepodległość. Jako zakładnik idący w rosyjską niewolę, wydobył ze swej duszy tak mocny w swoim „Bardzie" krzyk bólu, jak żaden ze współczesnych. W niewoli i obcych służbach zachował polskiego ducha. Jako kurator wileński poniósł dla polskości „gubernij zachodnich" zasługi niespożyte; dotąd zbieramy ich plony. Jemu zawdzięczamy, że Wilno dzisiaj jest z woli własnej nasze. O sprawę narodową upominał się przed carami i Europą całą uporczywie, zacięcie, nieraz do zuchwalstwa śmiało. Gdy przyszła rewolucja listopadowa, wszystko poświęcił dla ojczyzny. Zrobił, co wedle najlepszego swego przekonania był mocen uczynić, by siły kraju pomnożyć, pomoc dlań uzyskać, walce nadać obrót zwycięski. W obliczu klęski nie zrobił nic, coby mogło rozbroić gniew cara. Wygnaniec, rąk nie opuścił. Walczył o Polskę przez dalsze jeszcze prawie trzydziestolecie. Na ołtarzu dobra Ojczyzny składał raz po raz najsprawiedliwsze ambicje, najboleśniejsze urazy. Służył sprawie dziewięćdziesięcioletnim starcem i mądrze i czynnie. Umierał radośnie, widząc błysk nadziei dla Polski, błogosławiąc Polsce, z pełną miłości duszą.

„Katolicyzm nie powinien być z miłości Ojczyzny, ale patrjotyzm z miłości Boga". Te słowa sędziwego księcia Adama znamionują jego patrjotyzm, oczyszczony w ogniu cierpień, prześwietlony wiarą, przenikniony duchem chrześcijańskim. Patrjotyzm z miłości Boga. Więc patrjotyzm, nie znoszący krzywdy cudzej, nie uznający dróg nieprawych i występnych, do nienawiści niezdolny. Patrjotyzm polski.

SZERMIERZ WOLNOŚCI.

„Pozostał on najbielszym z Białych" — pisze o nim „Czas". Cóż za fatalna pomyłka! Nic niema wspólnego między ideami Czartoryskiego, a konserwatyzmem Wielopolskiego czy Pawła Popiela. Nigdy nie był książę Adam ani „białym", ani „czerwonym". Był białoczerwonym, jak chorągiew narodowa, i jak jego — Olgierdowica — Pogoń litewska. Nigdy nie był człowiekiem walki domowej ten „mąż, co wszystkie serca polskie w swojem nosił". A więcej było w nim czerwieni, niż w którymkolwiek z jego stronników z Hôtel Lambert. Więcej, niż w ogóle szlacheckim za Królestwa i Rewolucji — gdy on chciał uwłaszczenia chłopów, a tamci zwłóczyli ze zgodą. Wychowany był pod wpływem idei Roussa, republikanin z ducha, odbył później ewolucję ku konstytucyjnemu, liberalnemu monarchizmowi. Był anglofilem z sympatji i przekonania. Ale nie z torysowską łączyło go Anglją; był nietylko przyjacielem liberałów angielskich; byli mu duchowo blizcy. W walkach ideologicznych, na dwa obozy dzielących Europę, nie był obojętny: za system konstytucyjny, wolnościowy, zawsze gotów był walczyć, choćby szło o odległe sprawy portugalskie albo hiszpańskie. Nigdy, w żadnej sprawie nie był po stronie Świętego Przymierza przeciwko ludom.

W sprawach polskich był wolności i praworządności rzecznikiem nieustraszonym. W roku 1823, w ostatniej swojej, pożegnalnej z Aleksandrem rozmowie, mówił: „Cały kraj czuje, że Wasza Cesarska Mość już mu dobrze nie życzysz. Kraj nie ma już zaufania do uczuć Waszej Cesarskiej Mości. Kraj obawia się, że wszystko będzie zniesione, co mu dałeś i dostrzega to dzieło zniszczenia w dokonanych już gwałtach... Nieszczęściem jest Waszej Cesarskiej Mości, że nie wierzysz nikomu i że nie umiesz odróżnić uczciwego człowieka od obłudnika". „Takim tonem — dodaje Askenazy — jeden tylko Czartoryski mógł prze-

---

niem, śpiewaniem i biciem w rondel witają nowego ananasa, co ich ma uszczęśliwić. Sprytny chłopaczek chętnie wszystko wszystkim obiecuje, jak kadzichłopek, albo kandydat na posła przed wyborami, a oni radośnie wierzą, bo przedewszystkiem wszyscy są sylwestrycznie pijani. Jakże nie wierzyć różowemu bobasowi? To, że bobasek pochodzi z tej samej złodziejskiej familji, nikomu nie przyjdzie do imitacji głowy: więc są zdumieni, że cudowne dziecko już w lutym jest zwyczajną świnią, a za dwanaście miesięcy łysy jest, brodaty i stary. Niewiadomo, skąd wziął kosę i klepsydrę, ale ją ma, jak jego liczna rodzina, gdy skapieje, powiada się o nim w życiorysie, że był to stary hycel, co wszystkich obłupił ze skóry.

Fizyk, co nos wścibia za kulisy wszechświata, wie zapewne dokładnie, co się dzieje z dwunastomiesięcznym starcem i skąd się bierze nowy syn rozpustnego czasu. Ja to sobie wyobrażam teatralnie. Myślę, że od wieków odbywa się taki sam haniebny szwindel, jaki się urządza w teatrze, szczególnie w operze, kiedy „wojsko" złożone z sześciu żołnierzy z przyprawionemi brodami przechodzi gromko przez scenę — („naprzód piersi, w tył ramiona!" —) poczem szybko okrąża kulisy, zrywa sobie brody i z przeciwnej strony wkracza na scenę, jako „nowe wojsko", jakieś młodsze i inne. Jest ono jednakże z całą pewnością to samo, bo żołnierz w pierwszej parze miał zabłocone po kolana spodnie, a że ich zmienić za kulisami nie mógł, więc znak szczególny pozostał. Żołnierz z drugiej pary był zezowaty i ten nowy jest zezowaty. Takie samo cygaństwo odbywa się i z tem indywiduum, co wyobraża Nowy Rok: włazi na scenę stary, łykowaty dryblas, przełazi przez nią przez dwanaście miesięcy, poczem szybko okrąża ziemię i z drugiej strony powraca jako rozkoszny pędrak. Ale to z pewnością ten sam! Tę samą ma gębę, to samo złe spojrzenie, przynoszące nieszczęście, te same łapczywe ręce komornika, to samo usposobienie kłótliwe, tę samą skłonność do potwarzy, krwistego gniewu, żółtej zawiści i lepkiej obmowy. Brody siwej wprawdzie nie ma, kosę i klepsydrę porzucił za kulisami, ale czarnej duszy nie odmienił.

. . W alegorycznem wyobrażeniu starego draba i różowego kretyna jeden szczegół jest znamienny: obadwaj są goli. Stary rok wyobrażony jest ze strzępem łachmana na goliźnie chudego, jasnokościstego ciała, a nowy zgoła jest goły. Jasno to świadczy o niewątpliwej i odwiecznej prawdzie, że przez długi rok żywota można zarobić jedynie na łachman. Bez alegorycznej napuszoności, stary rok na obrazku przypomina pijaczynę stróża, co w złachmanionym negliżu otwiera bramę wieczności, a na schodach kwili podrzutek, z kartką na szyi: — „Nie chrzczony!" — Stróż się zczasem wykopyrtnie, a młodzian wyrośnie na stróża. Nie jest to dostateczny powód do festynów i pijackiej Gioi. Minął rok jeden, znajdzie się drugi, wezmą ten djabłowie, trzeci jest na zawołanie. „Tylko smutno im było, że umierać musieli..." Czas ma czas i nie wie, co zrobić z czasem. Dlaczego jednak dobrzy ludzie tak się cieszą, że się ku nim grób przybliżył o cały rok? Mojej starej głowie jest zawsze smutno. Życie się kurczy, mija to, co jest najpiękniejsze na tym świecie: wiosna i młodość, a dojrzały smętek nadjeżdża na trzaskającym artretyźmie. Należy tedy chyba pić z rozpaczą mrożoną melancholję, a nie wino z buraków i z rodzynków.

Ludzie jednak wierzą w nadzieję. A może ludzie co wiedzą? Wszyscy wiedzą

mawiać do najpotężniejszego na świecie pana". Aleksander wiedział co czyni, pomijając go przy mianowaniu namiestnika, zwalniając z kuratorstwa wileńskiego. To nie był namiestnik — żołdak w stylu Zajączka. To nie był dyktator w stylu Chłopickiego, chcący Polaków w porządku, przyzwoitą kapitulacją oddać pod prawowitą władzę cara. To nie był polityk w rodzaju Wielopolskiego, dążący do dobra kraju bez Polaków i przeciw Polakom. To był wódz walczącego o wolność narodu. Po Kościuszce wziął z czasem, na tułactwie, tytuł Naczelnika. Z jego był ducha.

MĄŻ STANU.

Jakże go nie rozumiał Słowacki, gdy w prologu „Kordjana" kazał szatanowi tworząc Czartoryskiego wrzucić do kotła prócz djamentu — „sekretny atrament z Talleyranda kałamarza". Nie było w księciu Adamie nic z Talleyranda. O tamtym mówi się, jako o mistrzu dyplomacji, ze względu na jego spryt genjalny; ale spryt ten łączył się z łotrowstwem, przedajnością, zdradą ojczyzny własnej. Koncepcje Talleyranda? Jeśli istniały, poza doraźną grą, zmierzały do odbudowy Europy w XV w. Nie doszukać się w nich ani przewidywania, ani przyszłości. Miał zato świetne powodzenia i sypały się nań bogactwa i zaszczyty; Europa, której wysługiwał się przeciw swej ojczyźnie, stworzyła mu legendę wielkości. Bywał potężny. Umarł w uwielbieniu bezmała powszechnem. Stał się w przekonaniu nietylko niewtajemniczonego ogółu, ale i słabo poinformowanych publicystów, uosobieniem i szczytem sztuki dyplomatycznej.

O księciu Adamie mówi się (za nim samym, a niezbyt trafnie), jako o „błędnym rycerzu" dyplomacji. Jako o idealiście. I czyż dziwić się, że jest dziś niedoceniony, dziś, gdy wyraz „idealista" stał się prawie zniewagą? Ale ten idealista był człowiekiem wielkich politycznych idei. Z tego, co przewidywał, z tego, co zamierzał, niejedno ciałem się stało z biegiem dziesięcioleci i niejedno było jego „za grobem zwycięstwo". Nie wiedział Wilson, że z jego czternastu punktów, zasadnicze sformułował na lat sto kilkanaście wcześniej Czartoryski, że jego Pakt Ligi Narodów jest realizacją wierną myśli Czartoryskiego. Nie wiedział może Cavour, że jednocząc Włochy pod berłem dynastji sabaudzkiej, realizuje ideę, której na pół wieku przed nim bronił Czartoryski. Dowiadują się dziś Rumuni, Bułgarzy, Serbowie, że u kolebki ich nowoczesnej myśli państwowej była obecna myśl Czartoryskiego.

Polsce rozdartej, ujarzmionej, bezsilnej umiał wywalczyć głos wśród narodów, wpływ na sprawy europejskie, mając do rzucenia na szalę tylko siły moralne, własną duchową wielkość, idee wolności i prawa. W Polsce chwila jego jeszcze nie wybiła. Wódz narodu, bojownik za wolność i prawo, czeka aż w życiu polskiem Naród stanie na właściwem miejscu, a słowa Wolność i Prawo odzyskają w świadomości polskiej pełną swoją wartość. Wtedy blizkim stanie się Polakom stary Naczelnik pielgrzymstwa, książę Adam.

---

o złudzie i łudzą się dalej, bo czasem złuda jedyną jest pociechą. Zakwita ona przeto i wśród tej mroźnej nocy, kiedy to zjawia się ów następca z okrutnej dynastji. Wierzy mu człowiek najbardziej nieufny i najbardziej trzeźwy i prostaczek i mędrzec. A nuż się zdarzy taki zwyrodnialec, takie jabłko, co daleko padnie od jabłoni, taki rok, co nie będzie ani podstępny, ani jadowity, w którym serce nie zlodowacieje, rok bez łachmana i kosy? O, daj mu Panie Boże rozum i odrobinę dobroci!

Ponieważ ludzie uporczywie wierzą w nadzieję, więc sobie radosne składają życzenia. Wielu jednak będzie takich, do których nikt nie przyjdzie z okruszyną dobrego słowa. Wielu będzie czekało nadaremnie w mroku, chłodzie, w żałości i zwątpieniu na jedno ziarnko pociechy, otuchy i radości. Wystarczy tego na dzień, lub dwa, lecz jeden promyczek znaczy czasem więcej, niż całe słońce. Tym wszystkim poślijmy dobre, serdeczne słowo. Powiedzmy głodnemu: — „Obyś jutro znalazł chleb". — Temu, co ma zranione serce: — „Niech cię pocieszy wielka miłość!" — Wszystkim zrozpaczonym, oszukanym przez miniony rok, wszystkim smutnym, struchlałym, zalękłym mrokiem i zimą powiedzmy, że wiosna jest niedaleko.

DR. L. KONIŃSKI.

Wskazania zaborowskie

„Największe u nas zmartwienie: ludzi we wsi coraz więcej, a ziemi nie przybywa". To jest smutna prawda, ale jeszcze nie rozpaczliwa. Przecież ta sama ziemia żywiła dawniej o połowę mniej ludzi i też chleba było skąpo. Widocznie wydobywamy z niej coraz więcej plonów. I napewno jeszcze wielokrotnie więcej wydobędziemy, czego przykład dają gospodarstwa u nas w Wielkopolsce, albo w Danji, tylko przeprowadzimy różne ulepszenia w dotychczasowej gospodarce: role scalimy, zdrenujemy, odkwasimy, nieużytki uprawimy, błonia użyźnimy, a może tym najbiedniejszym, którzy prawie nic nie mają, uda się uzyskać choćby małe gospodarstwo z dworskiego przy parcelacji.

Bo jednak czasy się zmieniły, nie będziemy już gospodarować systemem „każdy sobie rzepkę skrobie", ale w porozumieniu spółdzielczem. Spróbujemy uprawiać takie płody, które znajdą zbyt, ale już gromadnie, by sprzedawać w większych ilościach i przez to podnieść dochodowość gospodarstwa. Założymy handlowe sady, wzorowe pasieki i w ten sposób zdobędziemy jakby poszerzone warsztaty pracy, zmniejszając liczbę ludzi, we wsi „niepotrzebnych".

Przy większym niż dzisiaj dobrobycie, będziemy wysyłać dzieci do szkół rolniczych, ogrodniczych, dziewczęta na kursy gospodarstwa domowego, będziemy prowadzić w zespołach przysposobienie rolnicze.

Znajdzie się także dla niejednego po zdobyciu zawodowych kwalifikacyj praca w rzemiośle, a może i w fabryce w mieście. Wreszcie chętnych a z dobremi głowami pchniemy do szkół średnich i wyższych, by zasilili inteligencję zawodową, bo musimy mieć swój udział i w innych dziedzinach życia i tworzenia kultury w Państwie.

W Domu Ludowym urządzimy wspólnie „ośrodek zdrowia" z perjodyczną pomocą lekarską, małą apteczką, a nawet stałą sanitarjuszką, nie obejdzie się i bez łaźni parowej. Bo zdrowie nasze zaczyna się psuć, zwłaszcza gruźlica zabiera coraz więcej ofiar. Dla celów zdrowotności przy scaleniu gruntów, nie rozbijając osiedla, uporządkujemy je cośkolwiek, przerzedzimy zabudowania, wyrównamy i osuszymy drogi i ścieżki, zasypiemy gnijące bagna i sadzawki. Dla zyskania w przyszłości nietylko drzewa, ale i naturalnych płuc dla całej wsi, zalesim np. „Kawce" drzewami szpilkowemi.

Wszędzie około domów będzie czysto, mieszkania suche, słoneczne, przewietrzane. Tak samo troszczymy się, każdy u siebie, o osobistą higjenę. Odżywiać się będziemy nie z przepychem, ale dostatnio i zdrowo. Nasze gospodynie nauczą się sporządzać potrawy smaczne i krzepiące.

Dzieci małe, gdy matki będą w polu, przestaną się nurzać w brudzie i błocie, bo będą pod opieką wychowawczyń w ochronce. Szkoła będzie wyposażona w najlepsze warunki wzorowego kształcenia i wychowania młodzieży. Będzie się o to starać nietylko nauczycielstwo, ale i wszyscy rodzice. Młodzież po ukończeniu szkoły nie będzie „zbijać bąków", ale skupi się w kołach byłych wychowańców pod kierunkiem nauczycielstwa i światlejszych matek i ojców ze wsi.

Młodzież zaś dorastająca ma i mieć będzie swoją organizację, w ramach której będzie się kształcić i samodzielnie przysposabiać na światłych, moralnie wrażliwych, a wolą silnych, ludzi. Wybitniejsze jednostki w razie niezamożności rodziców, będą wysyłane na koszt gromadzki do uniwersytetów ludowych.

Piękno jest potrzebą naszej duszy. To też troszczymy się o urodę wsi, przyozdobimy domy ogródkami kwiatowemi, zasadzimy drzewinę. Nie zarzucimy też naszego dawnego stroju krakowskiego,

w miarę możności będziemy się starali, by na wszystkich uroczystościach (do kościoła, na obchody, wesela, wycieczki), występować we własnym, tutejszym ubiorze, który jest piękny i polski.

Pielęgnujemy i pielęgnować będziemy nasze ludowe pieśni i muzykę, bo w tych zaborowskich „nutach" wypowiedziały się całe pokolenia naszych przodków, nie damy sobie wydrzeć tych „nut" za cenę tandetnych melodyj obcych.

— — — „I dalej: „Jesteśmy i będziemy ludowcami i jednocześnie obywatelami całej Polski". Nie dopuszczą do tego, aby walki partyjne we wsi ludzi „zacietrzewiały", bo „grunt być rzetelnym i prawym człowiekiem, a przedewszystkiem mieć charakter, bo to — jak mówił Orkan — prawie wszystko". Rodzinę będą w Zaborowie szanowali „jak święte ognisko, w którego, niczem nie zastąpionem cieple miłości, wychowują się dzieci, przyszłość nasza"... Będzie w Zaborowie taka hierachja instytucji: Kościół, gdzie szukają „pociechy religijnej, szkoła, gdzie się uczy i wychowuje młodzież", wreszcie Dom ludowy (gromadzki), który będzie ogniskiem życia kulturalnego, gdzie będą mieścić się obok czytelni, bibljoteki i teatru, stowarzyszenia, gdzie będzie prowadzone archiwum dokumentów z życia wsi. „Oby dom ludowy był dla miejscowych ludzi nietylko dumą, lecz i codzienną troską..." To jest ostatnie z tych wskazań, niezmiernie prostych a dobrych i mądrych, i zdaje się, jedynie realnych. Na cóżby się zdało, gdyby prof. Jędrzej Cierniak — (znany prowodyr nowego teatralnego ruchu ludowego, którego nazwisko ma już walor symboliczny), wygłaszając wskazania te na otwarciu Domu ludowego w Zaborowie — (pow. brzeski, woj. krakowskie, na tej nizinie nadwiślańskiej, która tylu już wybitnych chłopów wydała) — gdyby był uderzył w tony demagogji, zamiast w tę nutę bezpretensjonalnego ale gruntownie przemyślanego i ciepłem serdecznej troski napojonego *organicyzmu?* Dom ludowy w Zaborowie, duży i okazały, (choć może szkoda, że się jakoś nie udało go w swojskim czyli polskim stylu wybudować?) tego roku w lecie poświęcony i oddany wsi, jest wspólnem dziełem całej wsi, tak gromady miejscowej, jak i inteligentów, którzy ze wsi wyszli, jak i nawet dalekich Amerykanów z Zaborowa, którzy się nań składali: ładny przykład patrjotyzmu lokalnego: wyrasta się z takiej małej i skromnej „rzeczywistości najbliższej", ale po to, żeby do niej wrócić wyższym i ją podwyższać... Dla Cierniaka ten Dom w Zaborowie jest spełnionem jednem z najlepszych jego marzeń życiowych. Oby Dom ten odpowiedział jego pragnieniom i nie ugrzązł w jakiejś płytkiej wodzie, jak tyle dobrych instytucyj, kiedy ich twórca oddali się!

Razem z Domem postarali się Zaborowiacy światli po świecie rozrzuceni, wydać monografję swej wsi rodzinnej napisana przez Cierniaka *(Jędrzej Cierniak Wieś Zaborów i zaborowski dom ludowy. Zaborów 1936, nakł. Tow. Domu wioski Zaborowa).* Niewielka rozmiarami, ale obfita we wiadomości ta książka (ładnie i starannie wydana, z ilustracjami, mapkami, facsimiliami) jest owocem gruntownych studjów archiwalnych i żmudnych nieraz statystycznych obliczeń, zawiera rys geograficzny, gospodarczy, ludnościowy, historycznokulturalny wsi Zaborów, od pierwszych wzmianek z XIII wieku, aż po spis poległych w ostatniej wojnie zaborowiaków (na 200, którzy byli w armji austrjackiej lub legjonach, trzydziestu). Zaborów przed 700 laty miał prawdopodobnie 50 mieszkańców, w w. XVII około 200, około r. 1736 mniej więcej 350, sto lat temu około 600, dziś ok. 800. Ogólny przyrost w wieku XIX niewielki — (choć było ćwierćwiecze nadzwyczajnie pomyślne pod względem przyrostu ludności a mianowicie 1884 — 1908) — co się tłumaczy „pomorem, wojną i wychodźctwem do Ameryki". Zaborów ma powierzchni 1553 morgów, z czego na dwór przypada 391 mg, na plebanję 16, na gospodarzy 777 mg. roli, reszta na pastwiska, łąki, ogrody i parcele gospodarskie oraz nieużytki. Gospodarstw małorolnych jest 152, największe liczy 45 morgów, ogół w granicach 6 — 8, najmniejsze niżej jednego morga, są i bezrolni. Koni jest we wsi 190, bydła 320, nierogacizny 160 sztuk. Sadownictwo i pszczelnictwo zaniedbane; 3 sklepy w ręku chłopów, Kasa Stefczyka i spółdzielnia mleczarska. Wieś narażona na wylewy; ziemia piaszczysta. „Sama ziemia, zwłaszcza uprawiana po dawnemu, już nas nie może wyżywić". A tu emigracja zahamowana, zadłużenie, trudno dzieci kształcić w szkołach, trudno zakładać rodziny. (Spada cyfra ślubów). „Jest o czem pomyśleć".

Książkę Cierniaka, choć pisaną ściśle naukowo (obfite zwłaszcza materjały z czasów pańszczyzny) czyta się bardzo łatwo, bo jest w niej i styl i język bardzo ludzki (nic z tych „państwowych" modnych „przekrojów" i „płaszczyzn"...), jest i to serdeczne ciepło człowieka, dla którego na pierwszem miejscu jest *żywy człowiek.* Czytając o Zaborowie czuje się, że ten jakiś Zaborów, tam za borami i rzekami, naprawdę istnieje — i to nie byle jaki, boć przecie

jak jeden Bóg na niebie, jak jedna matka Boska,
tak jedna na świecie ziemia zaborowska,
oj, i jak jedno słońce na cały świat świeci,
tak jeden jest Zaborów, zaborowskie dzieci!

— jak dowodnie stwierdza pieśń zaborowska, ułożona przez jednego z dawnych nauczycieli w Zaborowie, ś. p. Józefa Prelicha, oryginalnego człowieka, wielkiego miłośnika wszelakiego stworzenia, ludzi, zwierząt i roślin. Wogóle, tak w szkole jak i na plebanji, a także w jednym z dworów tej parafji, w Dołędze, tak i we wsi Zaborów bywali zacni i zajmujący ludzie. Cierniak skrzętnie spisuje wszystko dobre, nie przeocza co gorsze, ale gorsze traktuje z dyskrecją właściwą dobroci. Chce żeby dobrze było, dobrą rzecz w Zaborowie zainicjonował, dał dobre wskazania i napisał dobrą, pod każdym względem, książkę, która powinna rozejść się szeroko między ludźmi, co wieś lubią i pragną znać się na wsi.



MINISTER.

Na upadek Sułkowskiego i związane z nim ostateczne wyniesienie się Brühla — tę jedną z najbardziej tajemniczych kwestyj w historji — rzuca praca Boroviczenyego nikłe tylko światło. Dla mnie wszakże nie ulega wątpliwości — czemu dałem zresztą wyraz w krótkiej rozprawie, zaaprobowanej przez naukę niemiecką — że podłożem niełaski Sułkowskiego była więcej od intryg dworskich sytuacja polityczna, mianowicie zaś angażowanie się faworyta za polityką frabkofilską, „narodową", w przeciwieństwie do orjentacji filopruskiej Brühlów i Manteufflów...

Brühl w charakterze premjera saskopolskiego tamtę orjentację „narodową" tępił coniemiara. Szpiegował patrjotów, jak tylko biurokrata niemiecki czynić to potrafi, używał zaś do czarnych posług policyjnych wspomnianego już Siepmanna, z profesji alchemika, z karjery rezydenta saskiego w Berlinie, który, jak wiemy, przejmował korespondencję konfederatów dzikowskich przy pomocy poczmistrzów lubelskiego i lwowskiego.

— — — — — — — —

„Brühl — pisze Stanisław August — nie znał się na chwale prawdziwej i chwały takiej nie pragnął, ale dążył jedynie do zachowania stanowiska i wygód, których mu to stanowisko dostarczało..., całą on na to wysilał zręczność. Nie był też ani dobrym, ani wielkim, ani okrutnym, tylko miernym, znieprawionym i najczęściej nędznym. A całe rządy jego władcy przeniknięte zostały przyrodzonym Brühlowi charakterem, co się przyczyniło do zniepraweinia i charakteru narodowego".

Epoka saska pozostała symbolem najgorszej ery naszych dziejów, jako wigilja rozbiorów i niewoli. „Radosna twórczość" Brühla i jego kliki, związana z orjentacją niemiecką w polityce i kulturze polskiej — wpływy francuskie działały wówczas wązko i powierzchownie, włoskie tylko sporadycznie — zapisała się w Polsce deficytem budżetowym i anarchją w kraju. Brühl nie był „Ryszelim", ale Gil Blasen, jego „rotszyldostwo" kosztowało nas drogo, a „gwiazda medycejska", która, zdaniem dworskiego pochlebcy, dzięki niemu zajaśniała na czole Augusta Otyłego, dla Polski była ciemną gwiazdą. *(K. M. Morawski, Źródło Rozbioru Polski).*

KS. DR. JAN PIWOWARCZYK.

Korporacjonizm

I.

Pada obecnie dość często w dyskusjach politycznych słowo: „korporacjonizm”. Nie zawsze jednak w znaczeniu właściwem... Wogóle w Polsce wiedza o korporacjoniźmie jest bardzo mała. Nawet w tych kołach intelektualnych, które się interesują sprawą ustrojów polityczno - społecznych i przemian społecznych...

Wobec tego niema innej rady, jak — zacząć od początku. Od oświetlenia dróg, któremi szedł rozwój społeczny, nim doszedł do postawienia korporacjonizmu na stole obrad ustrojowych.

Obecny stan społeczno - gospodarczy sięga korzeniami do w. XVIII. Mianowicie do filizofji Rousseau'a i haseł Wielkiej Rewolucji, i oczywiście instytucyj prawnych, które z nich wyrosły... Zasady tej filozofji odnośnie do życia społecznego można ująć w dwie maksymy: a) jednostka jest suwerenna, b) źródłem państwa jest „wola zbiorowa” (umowa społeczna), nie natura, jak głosiła filozofja scholastyczna. Z tej indywidualistycznej filozofji wyniknęły odpowiednie zasady ustroju społecznego: zniesienie i zakaz zrzeszeń („loi Chapelier” z 1791 r.), — wolna konkurencja jako czynnik porządkujący życie gospodarcze, — „laisser faire'yzm” państwowy.

Danie skrępowanej dotąd inicjatywie prywatnej — swobody, w łączności z rozpowszechnieniem znaków tych zdobyczy w dziedzinie techniki, pchnęło rozwój życia gospodarczego potężnie naprzód. Powstał i rozwinął się t. zw. kapitalizm.

Ekonomiści rozróżniają w nim trzy okresy: dynamiczny, statyczny i okres upadku.

Pierwszy sięga do r. 1870. Cechuje go bezwzględny indywidualizm jako zasada, a rozwój fabrycznego przemysłu jako objaw zewnętrzny... Jest to okres najgorszych nadużyć pracy przez kapitał (Montalembert zwiedzając kopalnie węgla w Anglji spotkał w jednej dziecko trzechletnie, zajęte pracą otwierania i zamykania drzwi pod ziemią).

Okres kapitalizmu statycznego ciągnie się do czasów Wielkiej Wojny. W miejsce bezładnej walki wszystkich z wszystkimi przyjmuje się walka uzbrojonych i zorganizowanych frontów; z jednej strony — organizacje robotników, z drugiej — pracodawców. Obok tych dwóch walczących frontów występuje jeszcze trzeci czynnik: państwo. Stara się zapanować nad placem boju, a nadto przyjmuje na siebie rolę opiekuna pracy krzywdzonej dotąd w procesie gospodarczym (ustawodawstwo społeczne). Jest to okres związków zawodowych robotniczych i porozumień pracodawców (pierwszy kartel węglowy powstał w r. 1879 w Dortmundzie). Także okres wejścia państw na drogę polityki społecznej.

Okres upadku kapitalizmu przeżywa nasze pokolenie. I zarazem — okres światowego „kryzysu” gospodarczego... Na przyczyny klęski składają się braki, względnie niepowodzenia wszystkich czynników, które dotąd życiem gospodarczem kierowały. Organizacje zawodowe (tak pracodawców, jak pracobiorców) nie mogą wyjść z granic ciasno pojętego interesu klasowego, a w samem społeczeństwie niema dość wysokich autorytetów, czy instytucyj, któreby mogły skłócone strony doprowadzić do trwałego porozumienia.

Państwu zaś brak sił, jeśli nie chęci, do akcji koordynacyjnej. Na dodatek przychodzi usamodzielnienie się gospodarcze pozaeuropejskich krajów, hiperprodukcja Europy w okresie powojennym, olbrzymie bezrobocie i t. d.

Można powiedzieć krótko, że rozwój gospodarczy 19 w. wzbogacił ludzkość w nową klasę społeczną (proletarjat), ale nie umiał jej włączyć w społeczeństwo i w ten sposób umożliwił socjalizmowi nadanie walce klas charakteru naczelnej zasady życia społecznego, burząc ustrój społeczny a życie gospodarcze narażając na ustawiczne wstrząsy.

Socjalizm, wykorzystując anarchję, zostawioną przez liberalizm, usankcjonował zasadę permanentnej walki klas jako zasadę etyczną, a jako „państwo przyszłości” wysunął ustrój kolektywistyczny. Socjalizm jest tym szczęśliwym kierunkiem społecznym, który swoje założenia może realizować w jednym kraju bez żadnych prawie przeszkód. Jest to fakt pod pewnym względem bardzo szczęśliwy. Na Rosji Sowieckiej można studjować wartość socjalizmu w praktyce życia. Nie osiągnął jeszcze socjalizm w Rosji wszystkich swych celów; „państwo socjalistyczne” jest jeszcze ciągle w stanie „budowy”. Ale już to, co osiągnął, jest bardzo wymowne.

Socjalizm w Rosji chce zaprzeczyć wszystkim zasadom, na których opiera się życie Europy. Właściwie poza techniką nic go z nią nie łączy, a wszystko dzieli. Nierównościom w posiadaniu przeciwstawił — komunizm, t. zn. wywłaszczenie wszystkich, nawet najbiedniejszych, bez odszkodowania. Walce klas — społeczeństwo „bezklasowe”, więc proletaryzację ludności. Liberalizmowi i wolnej konkurencji — planową gospodarkę.

Liberalizm gospodarczy rozdzielił społeczeństwo na klasy społeczne. Socjalizm podniósł permanentną walkę klas na wyżyny zasady etycznej.

Państwa powojenne usiłują bronić się tak przed anarchją liberalizmu, jak przed niewolą, ku której zmierza socjalizm. Jak? Jedne przez etatyzm, polegający na drobiazgowej kontroli życia społecznego i gospodarczego przez biurokrację. Drugie przez dyktatury, bądź jedostkowe, bądź partyjne. Ale to nie rozwiązuje problemu, który w spadku zostawia umierający liberalizm kapitalistyczny, a który socjalizm do reszty zepsuł.

Etatyzm nie jest rozwiązaniem, bo rozwiązaniem może być tylko wprowadzenie nowego ustroju, a więc reforma strukturalna, organiczna... Nasz kryzys nie jest reumatyzmem, lecz organiczną chorobą.

I dyktatura nie jest rozwiązaniem. Bo dyktatura nie jest ustrojem.

Dlatego najmądrzejszy z dyktatorów, Mussolini, straciwszy cztery lata po objęciu władzy na eksperymenty dyktatorskie, przeszedł w r. 1926 do tworzenia nowego ustroju, korporacjonizmu.

Odtąd korporacjonizm staje się coraz bardziej głośnym. Choć — w Polsce — rzadko jest dobrze rozumiany.

Zacznijmy od etymologji!

W pojęciu: „korporacjonizm” (corpus — ciało, organizm) tkwią dwa elementy logiczne: jedność wielości. A więc także dwie zasady społeczne: autonomja członów (wielość) i podporządkowanie ich całości (jedność). Czyni więc korporacjonizm zadość warunkom, które dobremu ustrojowi społecznemu stawia św. Tomasz z Akwinu pisząc, że ustrój jest „jednością powstałą z dobrego złożenia wielości”. To go wyróżnia od ustrojów liberalnych, które znają „wielość”, lecz nie mają „jedności”. A także od ustrojów „totalnych” i „kolektywistycznych” i od dyktatur, które znów realizują „jedność” przez zaprzepaszczenie „wielości”.

Prawda powiedziana przez św. Tomasza należy do tych prawd, które można nazwać oczywistemi. Bo jest rzeczą oczywistą, że państwo może się utrzymać tylko pod warunkiem zachowania jedności, a działać twórczo tylko pod warunkiem zabezpieczenia wielości... I jeśli się państwa o ustroju liberalnym nie rozlatują, to tylko dlatego, że się im udaje przezwyciężyć swoją naturę i odśrodkowe dążności, ocalić jakąś jedność. A jeśli państwa totalne i dyktatorskie wykazują twórczość społeczeństwa, to znów tylko dlatego, że przy swojej tendencji do „ujednostajniania” zostawiają jakieś pole wielości. I pierwsze i drugie żyją dzięki przezwyciężaniu właściwie swoich naturalnych i istotnych tendencyj. Swoje życie opłacają ceną zaprzeczania sobie, powolnem samounicestwianiem się. Paradoks, lecz bardzo wymowny...

Korporacjonizm ma ambicję uniknienia tych sprzeczności i stworzenia ustroju, któryby się rozwijał zgodnie z naturą ludzką i z doświadczeniem.

D. c. n.

ANTONI BOGUSŁAWSKI

MÓJ DOM

Mój dom chudopacholski, pomurszałe licho,
co nowe lato staje w zielonej ozdobie.
Tęskno jest wokół trochę, pustawo i cicho,
jak na starym cmentarzu, bezmała — jak w grobie,
bo i próchno się sypie z pował, i grzyb zjada
podłogi, i pleśń pachnie w pokoikach niskich.

Ale szarpnij okienka, z których tynk opada,
i wsłuchaj się w drzew poszum, wyniosłych, a bliskich,
w pogwizd wilg, odmierzony i heksametrowy,
w dzięcioła szybkie kucie na ciemnym kasztanie —
a jakby miód sycony uderzy do głowy
i człowiek się jednością z tym koncertem stanie.

Topole!

Stoją wielkie, a czub — rozkrzewiony,
bo to są nadwiślańskie, tutejsze topole.
Bardzo lubią w nich gniazda wić zgiełkliwe wrony
i czarnemi sznurami kapać w świeżą rolę.
(Roli tej — już niewiele, lecz wronom wystarczy,
jak i wystarczyć musi dzisiaj szlachcicowi).
Kilka topól na wzgórzu stoi, jak na tarczy
pierzastej; trzech Francuzów, zmarzłych wśród pustkowi,
pochowano tu w czasie z pod Moskwy odwrotu.
Czasami zakukają kukułki im ładnie
ze świerków, a parobek przygnie się od płotu,
przekonany, że widzą go, jak jabłka kradnie.

Jabłonki i czereśnie śliczne są na wiosnę,
a pod niemi konwalje wystrzelają blade.
Zaś później przy leszczynach cały w dumę rosnę,
kiedy zrywać orzechy jesienią przyjadę.
Mają potrójne perły, niekiedy — poczwórne,
w kolorze są złociste lub seledynowe.
Przynęcają w pobliże wiewiórki czupurne
i dziatwę płowowłosą, plemię fornalowe.
Niewiele mi tam z tego na mój dział zostaje;
tyle, ażeby z ziemi brać niby daninę.

Czasami nad sadzawek płytkim nurtem staję
i wraz z leniwą wodą i ja myślą płynę.

Jak odbiegłem od tego wszystkiego już w mieście
i jakim tu — nie obcy, ale niepotrzebny!...
Cóż! Wyrzućcie mnie może i za płot wynieście,
jak rzecz starą i zdartą, zbyteczny łach zgrzebny.
Stary-m już...
Już nie imać się kosy ni pługa,
nie obcinać gałązek, ani róż nie szczepić...
Nie przyjdzie mi już wiosna, nowa albo druga,
przykazująca nowe bytowanie lepić.

Cóż z tego? Odrość mogę w tym szumiącym sadzie
mojem z krwi, mojem z kości młodem pokoleniem.
Przecież co jesień liść się do mogiły kładzie,
a na wiosnę znów szumi odrodzonym cieniem.

Wiem także, że gdy wonie ogarną mnie letnie,
te z pachnącego wina i z lip aromatu,
to czuję w sobie dzwonne djonizyjskie fletnie —
i wówczas mi nie braknie rytmów ni tematu.
Stąd jestem — to też każdy, kto mi zagon bierze,
jest mi zawsze drapieżcą, najeźdźcą i wrogiem.
Pod topolami babek szemrały pacierze,
i dziad mój tu przed śmiercią rachował się z Bogiem.
Kiedy nienawiść tępa czy szał obłąkańczy
odebrać chcą mi ziemię, moją z prapradziada,
to są dla mnie ponurym nalotem szarańczy,
co ze wschodu chmurami na Polskę opada.

JAN BEZŁASKI.

Zagadnienie którego niema

Niepodobna tego inaczej sformułować, jak właśnie tak: zagadnienie, którego niema. Jest szeroko dyskutowane, rozstrzygane w dwóch odmiennych kierunkach, wpływa na praktyczny układ stosunków, a mimo to wszystko... jest to jedynie rezultatem z gruntu fałszywego postawienia sprawy. Samo zagadnienie nie istnieje. Chodzi o zagadnienie polityki i gospodarstwa.

W wielu bardzo krajach wyrasta od czasu do czasu jako wielki problem pytanie, komu przysługuje prymat w działalności państwa: polityce czy zagadnieniom gospodarczym? Co do czego musi się dostosować? Czy pewne zamierzenia i tendencje polityczne mają ustąpić wobec konieczności gospodarczych, czy przeciwnie, zagadnienia gospodarcze muszą być rozwiązywane w sposób, wyznaczony przez koncepcje czysto polityczne? Bardzo odmiennie to pytanie jest rozstrzygane, zależnie od sytuacji, w której ma być dana odpowiedź, i zależnie od ludzi, którzy tę odpowiedź dać mają.

Kanclerz Hitler np. jasno i otwarcie głosi prymat zagadnień politycznych nad gospodarczemi. Narodowy socjalizm stawia sobie za cel przekształcenie moralne i polityczne narodu niemieckiego, wywalczenie mu należnego miejsca wśród innych narodów, rozbudzenie dumy narodowej. Zagadnienia gospodarcze rozwiązywane są tak, jak przesłanki polityczne to nakazują, względnie dozwalają.

Działalność prez. Roosevelta szła inną drogą. Ponieważ, obejmując prezydenturę, zastał jako najbardziej palące i dotkliwe zagadnienia gospodarcze, w polityce swojej na nich przedewszystkiem skoncentrował swoją uwagę. Każdy mniej więcej może określić prez. Roosevelta jako polityka gospodarczego, nigdzie natomiast nie pisze się o nim, jako o polityku tout court, aczkolwiek okres jego prezydentury bynajmniej nie przypadł na czasy pod względem politycznym jałowe.

Przykładów takich możnaby przytoczyć więcej. Co ważniejsza zaś, niektóre koncepcje polityczne i niektóre koncepcje gospodarcze wręcz pozwalają wydedukować, jak omawiane zagadnienie rozstrzygnęli dla siebie ich twórcy, chociażby wprost na ten temat się nie wypowiadali.

* * *

Gdy tak jest, to może naprawdę istnieje to zagadnienie: polityka czy gospodarstwo mają dzierżyć prym w działalności państwa? Jakżeby bowiem inaczej ludzie mogli temu dylematowi poświęcić tyle czasu?

Otóż tak samo, jak nie można pociąć

na kawałki duszy człowieka i powiedzieć, że w danym wypadku działał tylko rozum, w innym tylko uczucie, a w jeszcze innym znowu wyłącznie wola, tak samo nie można krajać na kawałki zagadnień społecznych i rozwiązywać je niezależnie jedno od drugich. Tak dalece, że jeśli ktoś nawet szczerze tego pragnie, nigdy mu się to nie udaje. Na każdym kroku jesteśmy świadkami, jak dalece regime polityczny wpływa na zagadnienia gospodarcze. Nie chodzi tu już o wpływ pośredni, polegający na tem, że każdy ustrój polityczny inaczej urabia charakter obywateli, ale o wpływ zupełnie bezpośredni, działający jednocześnie w dziedzinie politycznej i gospodarczej. Czy można sobie wyobrazić wolność polityczną, nie popartą wolnością gospodarczą? Czy bez demokracji politycznej możliwa jest do zrealizowania sui generis demokracja gospodarcza, polegająca na tem, że najniższy poziom gospodarczy nie jest równoważny z nędzą? Jedno bez drugiego kruche jest i nietrwałe. I odwrotnie, krucha i nietrwała jest dyktatura polityczna, dopóki nie opanuje dyspozycji w zagadnieniach gospodarczych, dopóki nie stanie się szafarzem już nietylko wpływów i zaszczytów, ale poprostu chleba.

Wróćmy znowu do niemieckiego przykładu. Czy można sobie wyobrazić bardziej autokratyczny ustrój w dziedzinie gospodarczej, niż hitleryzm, aczkolwiek założenia jego dotyczyły i dotyczą przedewszystkiem dziedziny politycznej? Czy jest kraj o mniejszej wolności politycznej, niż Z. S. S. R., gdzie z doktryny wynika prymat zagadnień gospodarczych nad politycznemi?

I nie może być inaczej. Zagadnienie ustrojowe polega zawsze na jednym problemie: jaki ma być zakres wolności obywatela? A wolność nie da się sprowadzić do dziedziny tylko politycznej albo wyłącznie gospodarczej. Jak w naczyniach połączonych płyn ustala się na jednakowym poziomie we wszystkich ich częściach, tak w różnych dziedzinach życia zbiorowego ustala się — bo ustalić się musi, jednakowy zakres wolności, względnie jednakowe jej skrępowanie. Niema żadnego sposobu oddzielenia zagadnień politycznych od zagadnień gospodarczych. I jeśli rzecz rozważyć nieco bliżej, to jasnem się staje, że każde zasadnicze rozstrzygnięcie polityczne jest jednocześnie i w takim stopniu rozstrzygnięciem politycznem. Znowu, weźmy przykłady. Reforma rolna. Nikt nie potrafi powiedzieć, czy jest to zagadnienie bardziej polityczne czy gospodarcze. Drugi przykład: koncepcje upaństwowienia przemysłów surowych. Czyż nie jest to najpoważniejszy krok do wprowadzenia ustroju socjalistycznego ze wszystkiemi politycznemi konsekwencjami tego kroku?

Na czemże więc polegać mogą próby rozdzielenia tych dwóch grup wzajem przenikających się zagadnień, gospodarczych i politycznych? Próby takie — jeśli są szczere — wynikają z tego, że niektórzy twórcy koncepcyj gospodarczych względnie politycznych, układając swoje programy i hasła, nie biorą pod uwagę pewnych stron zagadnień ustrojowo-społecznych. Podobni są pod tym względem do przyrodnika, któryby, badając dane ciało, widział tylko jego barwę, a nie widział kształtu; dostrzegałby bryłowatość, a nie dostrzegał ciężaru. Aczkolwiek każde ciało fizyczne musi mieć barwę i kształt i bryłowatość i ciężar sobie właściwe.

Dlatego też koncepcje i doktryny, tworzone w sposób jednostronny, to znaczy tylko pod kątem widzenia politycznym, albo tylko pod kątem widzenia gospodarczym, zgóry skazane są na to, że w tej niedostrzeżonej dziedzinie dawać będą nieprzewidziane skutki. I przytem często takie skutki, które mogą zaprzeczyć samej istocie danej doktryny czy koncepcji.

* * *

Bywa jednak, że taka jednostronność nie jest wynikiem błędu w myśleniu, omyłką twórcy jakiejś ideologji, tylko zabiegiem taktycznym, jednym z fragmentów gry politycznej. Więc zdarza się np., że będący u władzy mówią sferom gospodarczym: przymknijcie oczy na nasze rozgrywki polityczne, na naszą walkę z demokracją, na nasze dążenie do ograniczenia praw obywatelskich. A nawet — pomóżcie nam. Wzamian zagadnienia gospodarcze będziemy traktowali w ten sposób, który wam odpowiada, będziemy szanowali wolność w dziedzinie gospodarczej, nie będziemy się tą dziedziną zbytnio interesowali. A gdy to się uda, następuje akt drugi. Mówi się do sfer lewicowych: poniechamy dziedziny politycznej, ale pomóżcie nam teraz położyć rękę na sferach gospodarczych, na świecie kapitału, zadużo bowiem miał dotychczas swobody. A gdy i to się uda, ludzie będący u władzy trzymają już dość mocno całe społeczeństwo: i przez opanowanie dziedziny politycznej i przez opanowanie dziedziny gospodarczej. Wówczas można już przystąpić do powtórzenia aktu pierwszego. A potem znowu drugiego. Naiwnych oportunistów zawsze znajdzie się pod dostatkiem.

I tak rozwija się rozgrywka polityczna, polegająca na rzekomem lekceważeniu raz dziedziny politycznej, to znowu dziedziny gospodarczej w życiu zbiorowem, na rzekomej jednostronności zainteresowań ludzi, będących u władzy. Aż wreszcie każdy śmielszy głos, każdy bardziej samodzielny odruch, niszczony jest z łatwością bądź politycznemi, bądź gospodarczemi środkami działania, skupionemi w rękach ludzi, będących u władzy.

To także możnaby zilustrować przekonywującemi przykładami. Ale chyba nawet nie trzeba.

ADAM ORDĘGA

Światła i cienie reformy szkolnej

W poprzednich n - rach „Odnowy“[1]) staraliśmy się scharakteryzować założenia ideowe i ludzi, przeprowadzających reformę szkolną. Dziś czas przypatrzeć się rzeczowej stronie reform. Reforma szkolna, której wyrazem stała się ustawa o ustroju szkolnictwa 11 marca 1932 i ustawa o szkołach akademickich 1933, miała służyć praktycznemu wcieleniu w życie haseł „wychowania państwowego“.

Pęd do reformowania szkolnictwa średniego, charakterystyczny dla krajów Środkowej Europy (Niemcy, Austrja, Czechosłowacja), obcy Zachodowi, wciągnął w swój obręb i Polskę. Sprawił, że najznamienniejszą cechą polityki szkolnej obozu majowego była bluszczowatość, żywienie się okruchami rewizjonistycznej polityki szkolnej Austrji, Niemiec, Włoch, w zakresie zaś metod Ameryki. Historyk szkolnictwa z łatwością wykaże to kiedyś dokumentarnie. Brak było własnych koncepcyj ustrojowych.

Nauczycielstwo szkół powszechnych zasugerowane było całkowicie ideałem t. zw. szkoły jednolitej. Nauczycielstwo szkół średnich, profesorowie szkół akademickich bronili koncepcji pełnej ośmioklasowej szkoły średniej. Obóz majowy ze względu na popularność swą wśród nauczycielstwa szkół powszechnych pozornie podjął hasło „szkoły jednolitej“, w rzeczywistości treść realną ustawy ustrojowej wypełniły tendencje właściwe dyktatorskim zapędom regimu.

W pierwszej linji szło o oszczędności na oświacie. Zgodnie z tem zaczęto obniżać stopień organizacyjny szkół powszechnych, gimnazjum dotychczasowe rozbito na czteroletnie gimnazjum i dwuletnie liceum. Ten cel polityki jest naturalnie jak najszczelniej zawoalowany szeregiem argumentów psychologicznych i pedagogicznych.

W chwili wydania ustaw Jędrzejewiczowskich grupa lewicowa nauczycielstwa warszawskiego (której nie należy utożsamiać ze Związkiem Nauczycielstwa Polskiego) wydała ciekawą książeczkę p. t. „Nowe Tory. W obronie szkoły demokratycznej“. Jeden z autorów tej książeczki słusznie zaznaczył, że:

„Jedną z najcharakterystyczniejszych cech nowej ustawy jest jej ramowość. Obserwujemy zresztą tę cechę w całem współczesnem polskiem ustawodawstwie. Niemal w każdym przepisie ustawy powtarza się stwierdzenie faktu, że to, tamto i owo powierza się decyzji ministra. Ustawa zamienia się w jedno wielkie pełnomocnictwo. Ustawodawca nie zadaje sobie trudu, aby ściśle określić, co się

[1]) Zob. „Odnowa“ nr. 11, 12, 14, 15, 17.

ma dziać. Niech o tem wszystkiem rozstrzyga pan minister. W ustawie umieszcza się kilka do niczego nie zobowiązujących ogólników, stanowiących zewnętrzną dekorację ustawy. Odpowiednią treść wleje w to wszystko minister. A jaką? O to niech nas głowa nie boli, to jego rzecz, nie należy go zbytnio krępować".

Ramowość ta zgodna jest z ogólną tendencją regimu, który wierzy w omnipotencję i twórczość biurokracji, wyklucza kontrolę społeczeństwa.

W roku 1934/35 liczba szkół powszechnych — według danych oficjalnego organu Ministerstwa W. R. i O. P. „Oświaty i Wychowania" (1935, s. 271) — wynosiła ogółem 26363 szkoły, z czego wypada:

szkół jednoklasowych	—	12488
„ 2 — „	—	5913
„ 3 — „	—	2829
„ 4 — „	—	1220
„ 5 — „	—	632
„ 6 — „	—	396
„ 7 — „	—	2885

Widać zatem, że typem dominującym jest szkoła najniżej zorganizowana — jednoklasówka, a więc pedagogicznie bodajże prawie bezwartościowa. I w tem kryje się pierwsza tragedja oświatowa Polski współczesnej: zaprzepaszczenie interesów oświatowych wsi i chłopa.

Deklamuje się na prawo i lewo, że ustawa Jędrzejewiczowska realizuje koncepcję „szkoły jednolitej", w gruncie rzeczy jest to jedna z najbardziej antydemokratycznych ustaw szkolnych, jakie chyba istnieją na świecie, gdyż utrudnia dostęp do kształcenia warstwie chłopskiej, a więc 80% ludności. Cała zaś propaganda i ogłupianie społeczeństwa koncepcją szkoły jednolitej, to zasługa „teoretyków pedagogicznych" Związku Nauczycielstwa Polskiego.

Byłoby jednak rozminięciem się z prawdą, gdybyśmy twierdzili, że za wysoką ilość jednoklasówek odpowiedzialna jest wyłącznie polityka szkolna braci Jędrzejewiczów. Trzeba stwierdzić, że jest to skutek działania innego czynnika w naszej polityce szkolnej od 1918 roku. Cała ta polityka w zakresie organizacji szkolnictwa powszechnego mało liczyła się z możliwościami budżetowemi państwa i zamiast iść na minimalny program oświatowy, ale dający się zrealizować, szła na koncepcje maxymalistyczne, ale całkowicie utopijne. Rezultat był taki, że nie osiągano nawet wyników programu minimalnego.

Mówiąc innemi słowy, polska polityka oświatowa zbyt często była trawiona chorobą pryncypializmu, a mało było w niej realizmu. Pryncypializmem bowiem było w naszych warunkach gospodarczych i budżetowych proklamowanie hasła 7-klasowej szkoły powszechnej. To hasło mogło mieć pełną swą rację bytu na Śląsku, Pomorzu i w Wielkopolsce. Ale już w Małopolsce, tembardziej w dawnej Kongresówce i na kresach wschodnich było nieosiągalnym mitem. Lepiej było pokryć kraj gęstą siecią szkół 4-klasowych, to był program minimalny, który można było wykonać, dziś 7-klasowa szkoła powszechna należy na terytorjum całego prawie kraju (wyjąwszy Śląsk) do kategorji dalekich marzeń, w rzeczywistości zjechaliśmy na poziom jednoklasówki.

Za wytworzenie sugestji o jedynozbawczości 7-klasowej szkoły powszechnej odpowiada wyłącznie Związek Nauczycielstwa Polskiego. On to wytworzył przekonanie, że kto jest za 7-klasową szkołą powszechną, ten nosi szlachetną etykietę postępowości, kto zaś usiłuje wskazać, że w naszych warunkach jest to nieosiągalne, tego odrazu piętnuje się mianem reakcjonisty. Gorzej, że ten wysoce uproszczony pogląd stał się dogmatem i przeżarł mózgi wielu jednostek z kół socjalistycznych a nawet i ludowych.

D. c. n.

Muzyka

1858

Dzień Nowego Roku jest zawsze pewnego rodzaju pokusą do czynienia wszelkiego gatunku bilansów moralnych. Ale niewdzięczną sprawę bilansu polskich spraw muzycznych pomińmy chwilowo, bowiem dzień 1-szy stycznia jest sam przez się ważną datą dla muzyki polskiej. W pierwszym bowiem dniu 1858 roku, a więc przed siedemdziesięciu dziewięciu laty, odbyła się na scenie warszawskiej premjera moniuszkowskiej „Halki". Przedstawieniem dyrygował Jan Quattrini, dwie główne role śpiewali Paulina Rivoli i Juljan Dobrski.

Różne dzieje przeszła ta prześliczna opera przez krótki stosunkowo okres niecałych osiemdziesięciu lat. Pasowana odrazu na zaszczytne stanowisko polskiej opery narodowej, była za czasów niewoli uważana na scenach polskich za ważną pozycję repertuarową nietylko ze względów muzycznych, ale i patrjotycznych. Dawana była w starannej oprawie scenicznej, w obsadach nierzadko świetnych (Korolewiczówna i Myszuga!). Później, stopniowo przestała być „prorokiem we własnym kraju". Przeżyła jeden dzień najcięższy ze wszystkich, dzień wstydu, więcej: hańby — nie dla niej, lecz dla bezmyślnego i niewdzięcznego społeczeństwa jej rodaków, kiedyto przed dwoma laty przyjechał z dalekiego Hamburga operowy reżyser niemiecki, pragnąc przed wystawieniem na swej scenie narodowej opery polskiej, ujrzeć ją i usłyszeć we wzorowem wykonaniu w polskiej operze stołecznej. Przyjechawszy zaś, zatrząsł się z przerażenia, i powrócił do swej ojczyzny, starając się po drodze dokładnie zapomnieć o warszawskiem przedstawieniu „Halki". Co bowiem zobaczył i usłyszał — lepiej tego nie formułować, tembardziej, że potrafimy sobie to z łatwością wyobrazić, wspomniawszy na stan naszej opery w okresie lat ostatnich. „Miarodajni" panowie, nieuchwytne, anonimowe „czynniki", regulujący hojnie funduszami dyspozycyjnemi zawiłe sprawy t. zw. reprezentacji — czy zdajecie sobie sprawę ze straszliwej kompromitacji, do jakiej dopuszczono owego wieczoru i której nie zrównoważą żadne reprezentacyjne podróże, ani polowania? Poziom „dóbr moralnych" jest bowiem nieco ważniejszym probierzem wartości społeczeństwa, niż smaczne przyjęcie, lub wykwintna toaleta.

Niemniej, niezależnie od kompromitacji wyrządzono „Halce" bolesną krzywdę, za którą bądź jej samej, bądź jej twórcy należałoby się jakiekolwiek zadośćuczynienie. Wobec absolutnego braku ludzi, równych talentem i głosem Dobrskiemu, Myszudze, czy Rivoli — może skolei, po bohaterskim szewcu, pomyślimy także o pomniku dla twórcy polskiej opery narodowej, a zarazem o jednym z dwu najświetniejszych kompozytorów polskich?

Zaś „nieszczęsna Halka", sponiewierana we własnej ojczyźnie, niedoceniona w mieście, w którem niegdyś, przed siedemdziesięciu dziewięciu laty poraz pierwszy zabrzmiała, poszła, zbrojna w najszlachetniejszy w świecie oręż — w piękno, na podbój świata. Zdobyła sceny Szwajcarji i Niemiec, a zaśpiewana w radjostacji Rzymu słowiczym głosem Chloe Elmo, ukazała zdumionym polskim słuchaczom, odwykłym od takiej interpretacji, cały swój, pełen prostej słodyczy, urok. Utorowała drogę innym dziełom swego twórcy, którego stolica jego ojczyzny oceniła niżej, niż wspomnianego przed chwilą bohaterskiego szewca, a przedewszystkiem utorowała drogę „Strasznemu Dworowi". Berlińska Staatsoper upomina się niecierpliwie o partyturę tej opery i zapowiada jej premjerę na przyszły sezon, o ile Towarzystwo Wydawnicze Muzyki Polskiej ukończy druk partytury przed latem r. 1937.

Owa szczególniejsza „emigracja" muzyki polskiej poza granice ojczyzny (myślimy w tej chwili również i o Harnasiach Szymanowskiego), jest jednak medalem o dwu stronach. Jedna z nich, ta piękniejsza, to kolosalne znaczenie propagandowe, które z pewnością oceni nawet... pierwszy lepszy „czynnik miarodajny", zapatrzony z gorliwie nabożnym zachwytem w reprezentacyjny tren pani ministrowej. Ale bardzo ściśle z wartościami dodatniemi wiążą się momenty niebezpieczne i bardzo nie -reprezentacyjne. Tak było w przytoczonym wyżej wypadku „modelowego" wykonania „Halki" na scenie warszawskiej; podobnie mało reprezentacyjny posmak ma emigracja na sceny Pragi i Paryża „Harnasi", próżno czekających wystawienia na ubogiej scenie warszawskiej. Prawda! fundusze potrzebne są na „ważniejsze" rzeczy. Ale o owym problematycznym podziale na rzeczy ważne i nieważne, pisaliśmy już niedawno na tem miejscu.

Tylko, że te sprawy są trudniejsze do zauważenia, niż ta piękna, reprezentacyjna strona medalu. A może tylko bardziej niewygodne? *J. Boniecka.*

WITOLD HUBERT.

Sobieski, a polskie zagadnienie bałtyckie

Panowanie króla Jana III-go (1674 — 1696 r.), jest w dziejach Polski przedrozbiorowej ostatnią kartą samodzielnej polityki polskiej. Politykę tę prowadził niezmordowanie przez cały czas swoich rządów Sobieski. Polegała ona zasadniczo na zmierzaniu do dwóch celów: uporządkowania i wzmocnienia państwa wewnętrznie oraz przywrócenia mu i zabezpieczenia tego dominującego stanowiska w Europie Środkowo - Wschodniej, jakie zajmowała Rzeczypospolita za ostatnich Jagiellonów. Przeszkodą w osiągnięciu owego podwójnego celu była z jednej strony iluzoryczna władza królewska w państwie, a z drugiej — uwikłanie się w przewlekłe wojny na wschodniej i południowej granicy. Sobieski, będąc człowiekiem o wysokim rozumie, żelaznej energji i gruntownem wykształceniu (nietylko ściśle wojskowem, lecz i ogólnem), dojrzał w lot przeszkody wspomniane i przystąpił do systematycznego ich usuwania. Wzmocnienie ustroju wewnętrznego widział on przedewszystkiem w ugruntowaniu dynastji, a zakończenie wojen na południowym wschodzie — w szybkiem, a decydującem zwycięstwie, dającem stały pokój.

Polska Zygmuntowska, ów ideał Sobieskiego, unikała zatargów tureckich, jak ognia, i zwracała się frontem ku Bałtykowi, realizując starą myśl piastowską, wcieloną przez Jagiellonów. Za Zygmunta Augusta trwał niezmącony pokój z sułtanem, a polska linja brzegowa ciągnęła się na przestrzeni 1.000 klm., od jeziora żarnowieckiego do Rewla, mając w tem 60% bezpośredniej własności Rzeczypospolitej (wybrzeża Prus Królewskich, Żmudzi i Inflant) oraz 40% pośredniej (wybrzeża lennych Prus Książęcych i Kurlandji). W chwili elekcji Jana III-go na Ukrainie i Podolu wrzała od ćwierć wieku wojna, podsycana ustawicznie przez Tatarów i Portę Ottomańską, a wybrzeże polskie skurczyło się o połowę, t. j. do 500 klm., przyczem własność bezpośrednią Rzeczypospolitej stanowiło tylko 40% (Prusy Królewskie i Żmudź), a na pozostałe 60% szły wybrzeża lennej Kurlandji. W dodatku obcym tworem, wciskającym się nad Bałtykiem, między Prusami Królewskiemi i Żmudzią, były zwolnione z hołdu Prusy Książęce, wchodzące obecnie w skład Rzeszy Niemieckiej i napierające na groblę polską Prus Królewskich z dwóch stron: od zachodu Brandenburgją i Pomorzem Nadodrzańskiem, a od wschodu ziemiami właściwych Prus Książęcych.

Król Jan III-ci, dążąc do przywrócenia Polsce stanowiska Zygmuntowskiego, zwrócił odrazu uwagę na nowotwór pruski. Nowotwór ten z jednej strony poważnie zagrażał dostępowi polskiemu do Bałtyku przez swoje macki: brandenburską i pruską, a z drugiej stanowił doskonałą odskocznię do ugruntowania dynastji Sobieskich w Polsce, po uprzedniem osadzeniu jej w Prusach Książęcych. Usuwając zatem elektora brandenburskiego z Prus Książęcych, a wprowadzając wzamian do Królewca którego z członków rodziny Sobieskich, stającego się z powrotem lennikiem Rzeczypospolitej, likwidował Jan III-ci niebezpieczeństwo utraty Prus Królewskich, rozszerzał oparcie Polski o Bałtyk i przygotowywał następstwo po sobie dla tego Sobieskiego, który za jego życia był hołdownikiem polskim.

Ten potrójny wynik dodatni dawało Janowi III-mu usunięcie elektora brandenburskiego z Prus Książęcych. Wobec tego, cała energja Sobieskiego zwracała się ustawicznie w kierunku likwidacji Hohenzollernów w Królewcu. Dodać należy, że ówcześni dynastowie pruscy byli mocno niepopularni wśród swoich poddanych ex re bardzo ciężkiego systemu fiskalnego i ciągłego ograniczania swobód obywatelskich. Cała też ludność Prus Książęcych, w szczególności bogate mieszczaństwo oraz niemniej zasobne ziemiaństwo, była nastrojona wrogo względem elektorów brandenburskich i ciążyła ku Rzeczypospolitej, widząc u niej wręcz odmienne warunki.

Chcąc atoli rozwiązać zadanie pruskie, należało uprzednio rozplątać węzeł południowo-wschodni w postaci tlejącego ciągle zatargu tureckiego. Do zagaszenia owego zarzewia wziął się Sobieski niezwłocznie po swej elekcji. Miał on do pomocy rozkochaną w nim szlachtę, pragnącą gorąco pomścić hańbę traktatu Buczackiego i odzyskać Kamieniec wraz z Podolem, oraz idący mu szczerze na rękę dwór francuski, pragnący niemniej gorąco widzieć ustabilizowaną, potężną i sprzymierzoną z Francją Rzeczpospolitą Polską. Zaś przeciwko Sobieskiemu stawał wyłącznie dwór cesarski, wygrywający umiejętnie od czasów Zygmunta III-go tę Rzeczpospolitą, jako stałą dywersję w stosunku do napierających coraz bardziej na cesarstwo Turków.

Wszystko, co odciągało Polskę od Wschodu, było wrogiem dla Wiednia, a wszystko, co popychało Polskę w kierunku „Dzikich Pól", stawało się sprzymierzeńcem rakuskim. Był więc nieprzyjacielem cesarskim król Jan III-ci oraz popierający go Francuzi, a byli sojusznikami Habsburgów przedewszystkiem magnaci ukrainni, władający niezmierzonemi obszarami na rubieżach południowo - wschodnich, następnie Moskwa, urywająca po kawałku województwa kresowe, wreszcie elektor brandenburski, cenny ze względu i na swe wotowanie przy elekcji cesarskiej, i na swe wdzieranie się w środek linji brzegowej, a przez to podważający władanie Polski na zachodzie i północy.

Całe też panowanie króla Jana III-go upływa na ustawicznem zmaganiu się monarchy, dążącego uparcie do Bałtyku, z piętrzącemi się bez końca przeciwnościami, które go od tego morza odciągały. W pierwszych latach rządów Sobieskiego, t. j. w okresie 1675/6 r., kwestja bałtycka wydaje się być rozwiązana lada miesiąc. Nie pomagają ani zdrada Paca, ani opóźnianie się posiłków moskiewskich przeciwko Turkom — staje pokój żórawiński, przymierze polsko - szwedzkie i koncentracja wojsk polskich w Prusach Królewskich. Ratuje Hohenzollernów jedynie spisek detronizacyjny, urządzony przez Wiedeń. Potem następuje dziesięcioletnia przerwa, 1677/87 r., w której Jan III-ci odwraca się jakby od Bałtyku i ratuje cesarstwo niemieckie swą wiktorją Wiedeńską. Lecz nie traci on nigdy z oka sprawy pruskiej, często przebywa w Gdańsku, popierając stale uboższy żywioł polski przeciwko bogatszemu niemieckiemu, i, przy pierwszej sposobności, rozpoczyna znów kwestję pruską.

Ta kwestja wypełnia ostatni okres rządów Sobieskiego, t. j. 1687/96 r. Wznawia ją w związku z zerwaniem zaręczyn swego syna, królewicza Jakóba, z Karoliną Radziwiłłówną, wdową po elektorowiczu pruskim. W tym okresie po stronie królewskiej staje szlachta, lecz odwraca się karta szwedzka, bo Sztokholm zostaje przeciągnięty na stronę Wiednia i grozi wojną Warszawie. W rezultacie, królewicz Jakób spokrewnia się z dworem cesarskim, a Jan III-ci umiera w Wilanowie.

Sprawa pruska, wyrażona w dążeniu Sobieskiego do oparcia się o Bałtyk, przewija się przez ostatnie ćwierćwiecze XVII stulecia. Jest ona ostatnią wskazówką zamierającej podówczas samodzielnej polskiej myśli politycznej. Myśl ta wskazywała zawsze trzymać się mocno i szerokim pasem morza Bałtyckiego, nie dopuszczać do obcych nowotworów na brzegach tego morza i zwrócić się twarzą ku Zachodowi, szukając tam sprzymierzeńca. Myśl ta przeżyła Polskę przedrozbiorową i błyszczy jasno w Polsce wskrzeszonej.

Świat pracy

JUŻ NIE BĘDZIE PROTEKCJI.

Od stycznia 1937 roku wszelkie roboty inwestycyjne przeprowadzane w miastach, będą dokonane na rachunek Funduszu Pracy, w innej zupełnie formie, aniżeli działo się to dotychczas. Miasta i gminy nie będą już otrzymywały całkowitych sum na roboty inwestycyjne, lecz tylko tę część, która przypadnie do wypłaty robotników i jakieś drobne nadwyżki na związane z tem bezpośrednie wydatki. Materjałów, dostarczanych do robót, miasta i gminy nie będą już mogły nabywać bezpośrednio u dostawców, lecz dostarczy ich Fundusz Pracy. Ta instytucja obecnie przyjmie na siebie dodatkową rolę dostaw.

Jednocześnie Fundusz Pracy zwrócił się do wszystkich firm w Warszawie, aby siły robocze angażowały nie bezpośrednio, lecz za pośrednictwem li tylko państwowego pośrednictwa pracy. Ma to usunąć wszelkie nadużycia protekcyjne, jakie obecnie jakoby stosują delegacje fabryk, czy też związki zawodowe.

Czy istotnie usunie to protekcję? A może protekcja przeniesie się tylko do urzędów pośrednictwa?

J. J.

W roku zeszłym umieścili w Odnowie swoje prace, pomiędzy innymi, pisarze następujący:

Bezłaski Jan, Bogusławski Antoni, Boniecka Jadwiga, Borzęcki Marjan, Chroniewski Jan, Cyrano, Czajkowski Andrzej, Danysz Stefan, prof. Estreicher Stanisław, prof. Glaser Stefan, prof. Glixelli Stefan, Grudziński Józef, inż. Hubert Witold, Jeremski Józef, ks. Kaczyński Zygmunt, Kalinowski Wiktor, Kleszczyński Zdzisław, Krzepa Jan, jen. Kukiel Marjan, b. min. Lasocki Zygmunt, Leszczyc J., Malinowski J., prof. Młynarski Feliks, Moszczeńska Iza, Miles, Nienaski W., Nowakowski Zygmunt, Ordęga Adam, Pannenkowa Irena, Przełęcki Andrzej, Rawicz J., Romer Adam, Sanocki J., Świderski S., Świętochowski Ryszard, Tański Stefan, Tomniczak Leon, Ziemięcki Andrzej.

Numery Odnowy od 1 do 18 są do nabycia w administracji Traugutta 3.

Przegląd Prasy Krajowej

PO WIGILJI.

Numer wigilijny ma w prasie polskiej specjalne znaczenie. Jest to milcząco i tradycyjnie zawarta „Treuga Dei". Zapomina się na chwilę o polemikach i tępieniu wrogów, bieżące rozprawy nożowe i przejechania przez pijanych szoferów spycha się na koniec numeru; a trzy czwarte kolumn poświęca się sprawom ideowym. Redakcja mobilizuje co najtęższe pióra, do jej kierunku zbliżone lub jej wpływom dostępne, współpracownicy stali wysilają się na ostatnie słowo w swojej specjalności, redakcja naczelna tasuje cały ten dorobek, przykrawa i grupuje. Nie można oczywiście zapomnieć o rzeczach świątobliwych: o żłóbku, o gwieździe królewskiej, o aniołach. Gloria, gloria, gloria in excelsis. Dziwna rzecz — o tej świątobliwości najsumienniej pamiętają ci, którzy nietylko traktują ją zazwyczaj bardzo obojętnie, ale ją przez 364 dni roku na szpaltach dziennika zaciekle zwalczają. Dlatego nie tyle podniosły, ile wrzaskliwy ton religijny znajdujemy w tym jednym dniu także w „*Kurjerze Porannym*".

Ideologję reprezentuje w roku bieżącym kilkaset artykułów ludzi najpoważniejszych, i to nietylko dziennikarzy - fachowców. Są między niemi i bardzo ciekawe, i wykazujące głęboką troskę o najżywotniejsze sprawy narodu. Dominują sprawy dwie: kwestja żydowska i wychowanie młodzieży.

Daleko poza siły dziennikarskiego zawodu sięgnął „*Kurjer Warszawski*" w ankiecie na temat: „Dlaczego poszedłem tą drogą życia?"

Ankieta „*Czasu*" jest cokolwiek młodsza. A przedewszystkiem żywsza. Nie skrępowani ciasnym tematem, poruszają jej uczestnicy sprawy aktualne. Pisze więc profesor filozofji ścisłej *Rubczyński* „przeciw fali barbarzyństwa", o „jedynie przystającem członkom Kościoła Katolickiego obchodzeniu się z wyznawcami Starego Zakonu". Upomina się dyplomata *Wielowieyski* — nieco mętnie — „o kościec moralny", i wypowiada wzniosłą prawdę, że

„Tylko w atmosferze wolności może dojść do głosu sumienie społeczeństwa i może się wytworzyć kościec moralny, którego brak niestety, zdaniem moim, naszemu społeczeństwu."

O tak. Wyznawanie powyższej zasady, a jednocześnie wieloletnia współpraca z sanacją, która się stała tej wolności zaprzeczeniem, potwierdza brak kośćca moralnego w społeczeństwie.

Prof. Dąbrowski daje głęboki, syntetyczny artykuł z zakresu polityki zagranicznej p. t. „Niepokój Europy". Przytaczamy znamienne zakończenie:

„Ze wszystkich kombinacyj, jakie w tej mierze (zapobieżenia rozpadnięciu się Europy na fronty światopoglądowe) uczyniono po wojnie, jedyną realną okazało się porozumienie trzech mocarstw zachodnich, Anglji, Francji i Włoch, mogące liczyć na więcej lub mniej ścisłą współpracę szeregu państw Europy środkowej. Każde odstąpienie od tej linji przynosiło Europie nową fazę niepokoju, pogróżek wojennych, odwlekania się normalizacji stosunków. Jeżeli nawrót do tej linji, jaki zarysowuje się w chwili obecnej, okaże się trwałym, można będzie żywić nadzieję, że sytuacja międzynarodowa przy materjalnej, bardzo niekorzystnej dla wojny sytuacji, zacznie się układać na trwałe w kierunku pokojowym."

Jak wiadomo, pod wpływem układu niemiecko - japońskiego i Stany Zjednoczone przejawiają chęć przystąpienia do porozumienia zachodnio - europejskiego, co tem silniej powyższe przewidywania prof. Dąbrowskiego podkreśla.

Odezwał się i nestor *Wincenty Lutosławski*. Ten słynny niegdyś perypatetyk, wódz Elsów i Eleuterji, otoczony zawsze gronem młodzieży, ma więcej danych od innych, aby ją rozumieć:

„Rozruchy młodzieży akademickiej są wskazówką braku świadomości praw i obowiązków wśród najwięcej uprzywilejowanej części społeczeństwa. Ci ludzie, którzy dziś lekkomyślnie burzą ład i porządek na uczelniach, niepomni wielkiego przywileju, jakim jest wyższe wykształcenie, na które środki łoży cały naród, — jutro z większą jeszcze lekkomyślnością gotowi będą lekceważyć obowiązujące ich prawa i zaniedbywać obowiązki, folgując sobie w niepoczytalnych odruchach, niszczących praworządność państwa.

Młodzież akademicka, to nie jakaś przypadkowa część społeczeństwa, którąby można wyodrębnić i której zaburzenia nie miałyby wpływu na całość. To nie jest jakaś gmina, ani powiat, ani jakiś poszczególny cech czy zawód. To jest najczulszy organ w państwowym organiźmie, przygotowujący materjał do naczelnych funkcyj społecznego życia."

Przeciwko blokom światopoglądów występuje — w ślad za prof. Dąbrowskim — ks. Wądołowski, rozpatrując tę sprawę ze stanowiska ideologicznego.

„Ani bolszewizm, ani hitleryzm, jako ruchy totalne i ekskluzywne, nie chcą tolerować instytucyj niezależnych od siebie.

...Oba te systemy nie wprowadziły zatem ludzkości na lepsze tory, cofnęły ją do czasów barbarzyńswa. Jedyny ratunek przynieść może stara i wypróbowana prawda chrześcijańska. Ona to właśnie wyzwala człowieka z przemocy i gwałtu, podkreśla jego godność i wielkość, opartą o miarę jego duszy nieśmiertelnej, przeznaczonej do wieczności."

Na jedno z pierwszych miejsc wśród egzemplarzy gwiazdkowych wysuwa się numer wigilijny „*Robotnika*". Oczywiście nie mówimy tu o ideologji artykułów, bo to już sprawa przekonań, ale o konstrukcji, o logicznem związaniu artykułów. Wstępny, pióra naczelnego redaktora Niedziałkowskiego, daje rzut historyczny na „walkę o Polskę" i syntezę sytuacji obecnej — z punktu widzenia socjalizmu. Znajdujemy tam taki ustęp:

„Przeżywamy wszędzie *renesans tęsknoty do demokracji;* bo zbuntował się wolny duch człowieka przeciw poniewieraniu jego godnością... Piramidy Cheopsa budowali niewolnicy, przeklinający bogów i swój los; *historję wspaniałą tworzą ludzie wolni*, nikt inny."

Możemy się pod nim podpisać? Z pewnością.

Po (bojowym zresztą i tendencyjnym) artykule z zakresu wychowania młodzieży umieszczono dwa programowe artykuły: „Faszyzmu siła i słabość" i „Rasizm", pierwszy o charakterze publicystycznym, drugi naukowy, oba jak najbliżej dotyczące idei przewodniej „Robotnika". I znowu, w pierwszym z nich, znajdujemy zdanie o wolności:

„Wbrew temu, co głosi faszyzm, *wolność nie jest ani przywilejem, ani obowiązkiem.* Istota wolności leży gdzieindziej. Wbrew szeroko rozpowszechnionemu mniemaniu, że demokracja polega na rządach większości, *istotą demokracji jest poszanowanie praw mniejszości przez większość.* Swoboda wypowiadania swoich poglądów w słowie i piśmie, swoboda zgromadzania się i organizowania do walki o zdobycie większości dla swych poglądów — oto jest wolność prawdziwa. I dla oceny systemu rządzenia we Włoszech, albo w Niemczech, nie to jest miarodajne, czy system ten w jakiemś głosowaniu powszechnem zdobywa 60 czy 90% oddanych głosów, lecz: co system ten czyni z pozostałemi dziesięcioma procentami?"

„Treuga Dei — pokój Boży". „*Warszawski Dziennik Narodowy*" obdarzył nas szeregiem artykułów swego wydziału historyczno - literackiego, starannie unikając aktualności politycznych. *Joachim Bartoszewicz* w artykule wstępnym pisze:

„Jest już i rośnie w coraz liczniejszym zespole niezłomna wiara w przyszłość narodowej Polski, w posłannictwo naszego narodu, uwolnienie się od nieznośnego jarzma żydowstwa i sekciarstwa, w zdobycie nietylko formalnej, ale istotnej niepodległości, która nam pozwoli prowadzić polską politykę i spełnić zadania, nakreślone nam przez historję. Naród, taką wiarą ożywiony, zrozumie cel swego istnienia i chętnie idzie do walki. Ci, którzy tej wiary nie mając, marzą o spokoju, przeszkadzają walczącym i zasłaniają front przeciwnika, winni być bezwzględnie z placu boju usunięci."

To jedyny wyłom z pokojowych nastrojów wigilijnych „Dziennika".

W artykule p. t. „Dziejowy szlak Polski, wytyczony przez Mieszka i Chrobrego" przeprowadza p. Majewski w „*Gońcu Warszawskim*" analogję między położeniem Polski przed lat tysiącem, w okresie tworzenia się państwa polskiego, a naszą dzisiejszą sytuacją.

„Piszemy o tych dziejowych przemianach naszych prapradziadów z przed tysiąca lat, bo i dziś na dopiero co odbudowaną Polskę idzie napór ze wschodu i z zachodu, jak na pierwszych Piastów. Tylko wschodni bizantynizm zastąpiony został przez komunizm, a wojowniczy chrześcijanizm Germanów przerodził się w imperjalistyczny neopoganizm hitlerowski. Przedtem, zresztą, mieliśmy pośrednie ogniwa protestantyzmu niemieckiego i prawosławia rosyjskiego, również o wojowniczych zapędach. Naciskały one na Polskę i służyły Germanom i Moskalom, kształtując ich odmienne oblicza i żłobiąc ich szlaki dziejowe.

Nie łudźmy się. Ani na chwilę nie ustała dziejowa wojna ideowa z Moskwą i Germanami."

„*Dziennik Popularny*" numeru swego z 24 grudnia nie przystroił w szatę wigilijną. Nie zamieścił też zwyczajowych życzeń. Przeciwnie, w numerze tym pomieścił „omówienie ostatnich napaści prasy klerykalno - endeckiej na Związek Młodzieży Wiejskiej Rzeczypospolitej Polskiej Wici", p. t. „Klerowi słowa rozwagi", utrzymane w tonie bojowym.

P. Barlicki ogłasza w „Dzienniku" artykuł o sprawach gdańskich w związku z przemówieniem ministra Becka w senacie. Czytamy tam:

„Kłopotliwemi nazywa pan minister te sprawy (gdańskie), „kłopotliwemi od wieków", sprowadzając je do takich sobie, ot, zwykłych kłopotów domowych, co to usposabiają niemal do ziewania.

Więc tylko tyle miał do powiedzenia pan minister spraw zagranicznych o tem pierwszorzędnem zagadnieniu, o sprawie gdańskiej, organicznie związanej z istotą naszej polityki zagranicznej? Tylko tyle, nie licząc się z nerwami całego społeczeństwa polskiego, całego narodu? Bo „nerwy nerwami, a decyzja decyzją"? Ano zobaczymy! Czasem i nerwy mają wpływ na decyzję, nawet na te, najwyższej klasy „sztuką dyplomatyczną" przyozdobione. Historja lubi płatać figle, ale te figle są bardziej niebezpieczne, niż 10 „metod" i sto „płaszczyzn".

A. W.

ADMINISTRACJA otwarta codziennie, prócz niedziel i świąt, od 10 do 14-ej. REDAKTOR przyjmuje w poniedziałki, środy i piątki od 11 do 14-ej. Konto w P. K. O. Nr 22822. Prenumerata wraz z przesyłką wynosi: w kraju zł. 1,50; zagranicą zł. — 2,— miesięcznie. Ogłoszenia: 1 stronica — zł. 200.—; ½ st. — zł. 125,—; ¼ str. — zł. 75,—. Rękopisów niezastrzeżonych nie zwraca się.

REDAKTOR: RYSZARD ŚWIĘTOCHOWSKI. WYDAWCA: SPÓŁKA WYDAWNICZA „NIWA", SP. Z OGR. ODP.

Zakłady Graficzne DRUKPRASA, Nowy-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.